Dn. 17. 12 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 18 grudnia 1960 r.

Nr 50 (146) Cena 1 zł

Popróbujmy windologii

Najbardziej nowoczesną windę w Łodzi posiada obecnie hotel „Savoy". Zastosowano tam urządzenie, służące do tzw. „automatycznej korekty dojazdu". Natomiast w reprezentacyjnym Grand Hotelu króluje zacofanie. Tamtejsze staroświeckie windy steruje się za pomocą układu linek i korbek, podczas gdy od dziesiątków lat stosuje się wszędzie w tym celu impulsy elektryczne.

W wapiennikach w Lubaczowie i Trębaczowie (województwo łódzkie) pracują windy o napędzie konnym.

Windę towarową o napędzie parowym zainstalowano w roku 1882 w pabianickich ZPB. Kursuje ona dotychczas (dziś ma napęd elektryczny), chociaż już w roku 1957 Inspektorat Dźwigowy zrzekł się nadzoru i polecił urządzenie zdemontować.

JULIAN BRYSZ

DŹWIG a „SPRAWA POLSKA"

Za ludzką bezmyślność pracownica Grand Hotelu zapłaciła życiem. Przygniótł ją ciężar 800-kilogramowej przeciwwagi, która z impetem spadła z wysokości piątego piętra.

Ją jedną spośród dziesięciu osób ciasno stłoczonych w windzie. Szczęściem w nieszczęściu uderzenie przeszło bokiem, nie czyniąc większych szkód pozostałym pasażerom. A gdyby ciężar uderzył w sam środek klatki?

Tragedia w Grand Hotelu ciągle jeszcze „na świeżo" tkwi w świadomości łodzian. Poruszyła ona do głębi opinię publiczną.

Już wcześniej przedostawały się do prasy wzmianki o wypadkach związanych z urządzeniami dźwigowymi. I chociaż żaden z nich nie odbił się tak szerokim echem, jak ostatni, trzeba je na tym miejscu również odnotować.

Rok wcześniej — w sierpniu 59 r. — w jednej z łódzkich kotłowni centralnego ogrzewania nawijająca się na bęben lina wciągnęła robotnika. Odniósł on ciężkie obrażenia w rezultacie których zmarł.

Swego czasu remontowano windy w wieżowcu przy ul. Sienkiewicza. Od jednej z wind, zawieszonej na wysokości dziesiątego piętra odłączono liny stalowe (nośne), które trzeba było wymienić. Uprzednio podwieszono windę na tymczasowej linie parcianej, która po odjęciu lin stalowych nie wytrzymała ciężaru i urwała się. Klatka runęła w dół z wysokości kilkudziesięciu metrów, razem z siedzącym na dachu monterem, który manipulował przy odejmowaniu lin. Szczęściem zadziałały urządzenia hamujące i na ostatnich paru metrach klatka „wytraciła" szybkość. Hamowanie nastąpiło z opóźnieniem, bowiem majstrujący przy mechaniźmie robotnicy zablokowali wcześniej bęben urządzenia chwytnego. Monter solidnie podrapany dostał szoku nerwowego ale uchronił się od poważniejszych obrażeń.

W jednej z łódzkich fabryk pończoszniczych zbudowano nową windę do transportu towarów. Jednak do czasu oficjalnego odbioru i uruchomienia tej windy, korzystano wciąż jeszcze ze starego urządzenia, mimo że znajdowało się w stanie skandalicznym. Kiedy inspektor przyszedł dokonać odbioru nowej windy, stara a' ·.t była w ruchu, startując z parteru do góry bez ładunku. Inspektor wspinając się schodami spostrzegł, że lina

Dalszy ciąg na str. 5

O „PANNIE WODNEJ" piszemy na stronie 11

Fot. G Puciato

W „Piwnicy" w Zduńskiej Woli

** Orgie * Świetnie * Nic mnie to nie obchodzi*

KRZYSZTOF SZMAGIER

Eksperyment „PIWNICA" -udany

Zduńska Wola. 26 tys. mieszkańców, 3.000 młodzieży. 6 dużych zakładów pracy. 3 kościoły. 1 zakon. 2 kina. 3 restauracje. 17 taksówek. Kilka prostytutek. Koło ministrantów i prawdopodobnie około 50 dewotek.

Do Zduńskiej Woli jechałem po raz pierwszy. Pociąg pamiętający co najmniej rządy Kiereńskiego, jeśli nie pierwszą wojnę japońską, przystawał na małych stacyjkach. Za oknem czerwone słońce uciekało pod ziemię. Bura, wilgotna ziemia z bezlistnymi topolami przypominała plenery smutnego filmu. W przedziale śmierdziało brudem i drobiem. Oprócz mnie jechał jakiś robotnik, dwie staré kobiety ze wsi i młoda dziewczyna. Miała ładne oczy i szalik źle dobrany do płaszcza.

Uciekłem się do najstarszego chyba chwytu nawiązania rozmowy z dziewczyną w pociągu: „Czy powie mi pani, kiedy będzie Zduńska Wola?" — zagadnąłem. Próbę żartu pokwitowała uśmiechem i nawiązaliśmy rozmowę. Pracuje w Łodzi, mieszka w Zduńskiej Woli. Miasteczko jak miasteczko. *„Musi pan pójść do „Piwnicy". Założył ją ZMS. Głośno o tym w miasteczku".* Była tam raz, ale na razie nie chodzi. Nie ma jeszcze karty wstępu. Opowiadała, że w Zduńskiej Woli jest jeszcze Jazz-klub, są jakieś sekcje. Podobno robią teatr. Wykłady Uniwersytetu Robotnicze-

Dalszy ciąg na str. 3

JACEK LEBEN

OŚWIADCZENIE I APEL

Przedstawiciele 81 partii komunistycznych i robotniczych obradowali w listopadzie w Moskwie. Była to największa narada w historii międzynarodowego ruchu robotniczego. Jej owocem jest Oświadczenie i Apel do narodów świata. Obszerne oświadczenie zawiera marksistowską analizę współczesności — podstawowych kierunków rozwoju społeczeństw. Zawiera ono strategiczny plan walki komunistów o pokój, zasady działania w warunkach budowania socjalizmu, w warunkach państwa pokolonialnego i w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych. *„Wszystkie partie marksistowsko - leninowskie — stwierdza deklaracja — są niezależne i równoprawne, ustalają swoją politykę, biorąc za punkt wyjścia konkretne warunki swoich krajów, kierując się zasadami marksizmu - leninizmu i udzielają sobie nawzajem poparcia. Sukces sprawy klasy robotniczej w każdym kraju wymaga internacjonalistycznej solidarności wszystkich marksistowsko - leninowskich partii. Każda partia ponosi odpowiedzialność wobec klasy robotniczej, ludu pracującego swego kraju, wobec całego międzynarodowego ruchu robotniczego".*

Morze problemów zawartych w deklaracji stwarza konieczność świadomego wyboru jednego—dwóch tematów, na które można zwrócić uwagę czytelników. Takim podstawowym zagadnieniem dla wszystkich jest sprawa pokoju. *„Fatalna nieuchronność wojny nie istnieje"* — stwierdza deklaracja. A przecież ktoś może powiedzieć, iż komuniści głosili niegdyś leninowską tezę, iż imperializm niesie z sobą wojny jako coś nieuchronnego, że wojny są jego istotą. I tak naprawdę jest. Marksizm-leninizm jednak to nie zbiór dogmatów, to przede wszystkim metoda pozwalająca śledzić procesy zachodzące w świecie, przewidywać ich rozwój. Świat dzisiejszy to nie świat sprzed 50 lat. 50 lat temu siła socjalizmu była tylko siłą idei, dziś socjalizm to również materialna potęga obozu socjalistycznego. Potęga to dynamiczna, niezwykle szybko wzrastająca. Wyścig zbrojeń, narzucony obozowi socjalistycznemu przez kapitalizm, wykazał niezmierne możliwości Związku Radzieckiego, który w krótkim okresie 10-lecia zdołał wyrównać początkową przewagę Zachodu w broni nuklearnej, daleko wyprzedzić Stany Zjednoczone w dziedzinie broni rakietowej. W dziedzinie ekonomicznej trwa mimo wyścigu zbrojeń współzawodnictwo między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Tempo przyrostu produkcji w Związku Radzieckim jest 4—5-krotnie większe niż w Stanach Zjednoczonych. Warto nadmienić, że w Związku Radzieckim zarzuciło się metodę porównywania wyników ekonomicznych w stosunku do Rosji carskiej. Wszystko przyrównuje się do Stanów Zjednoczonych. Z kolei w Stanach Zjednoczonych istnieje dosłownie obsesja polegająca na porównywaniu wszystkiego w stosunku do analogicznych osiągnięć Związku Radzieckiego. Najbardziej poszukiwanymi ludźmi w Stanach Zjednoczonych są tłumacze rosyjskiego. Kiedy na XXI Zjeździe KPZR nakreślono zadania osiągnięcia poziomu Stanów Zjednoczonych w globalnej produkcji do roku 1972 to w Stanach nie podjęto dyskusji nad tym, czy Związek Radziecki dogoni Stany Zjednoczone. Podjęto tylko dyskusję nad tym, kiedy tego dokona.

Mimo trwającego wyścigu zbrojeń pokojowe współzawodnictwo między światem zachodnim a światem socjalistycznym już trwa. Przebiega ono między innymi przez trzy wielkie kontynenty: Azję, Afrykę, Amerykę Łacińską. Na tych kontynentach istnieje już kilkadziesiąt neutralnych krajów, które nie są zainteresowane w wyścigu zbrojeń. Nie mają czego szukać na tej drodze, są zainteresowane w odprężeniu międzynarodowym. Bo tylko wówczas mają szanse na szybki rozwój.

Największym błędem byłoby niedocenianie potęgi zamożnych krajów zachodniego świata: Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Niemiec zachodnich, Francji, Włoch, Japonii. Ale jeszcze większym błędem byłoby niedocenianie sił pokojowych. Teza o możliwości pokojowego współistnienia opiera się na podstawowym przeświadczeniu: burżuazja umie liczyć i jeżeli wyliczy, że ewentalna wojna może jej przynieść zagładę, to tej wojny nie rozpocznie.

Najbardziej wojowniczo nastrojone militarystyczne koła zachodnie zdają sobie równie dobrze jak my sprawę z niszczycielskiej potęgi nowoczesnej broni. Muszą być świadome tego, że bez względu na ostateczny rezultat wojny, Niemcy zachodnie czy W. Brytania już w pierwszych godzinach tej wojny zostałyby zamienione w atomową pustynię. Prof. Bernal oblicza, że jedna bomba atomowa, która spadłaby na obszar gęsto zaludniony mogłaby doprowadzić do śmierci 2 milionów ludzi. Jedna bomba wodorowa, która spadłaby na gęsto zaludniony obszar mogłaby doprowadzić do zagłady 10—15 milionów istnień ludzkich, a przecież bomb takich jest tysiące.

W dzisiejszym świecie wojna nie może być instrumentem rozwiązywania spornych problemów międzynarodowych.

„W naszej epoce narody i państwa mają przed sobą tylko jeden wybór — stwierdza Apel do narodów całego świata — pokojowe współistnienie i współzawodnictwo socjalizmu z kapitalizmem albo ludobójczą wojnę jądrową. Innej drogi nie ma".

Komuniści opowiadają się za współistnieniem i stwierdzają w Apelu: *„Nigdy jeszcze w historii ludzkości nie było tak realnej szansy, aby odwieczne marzenie narodów o życiu w pokoju i wolności stało się rzeczywistością".*

MINĄŁ TYDZIEŃ

Dziwnie się plecie...

Ubiegły tydzień był bardzo udany, taki jakiś zgrabny, dobrze skrojony, gęsty, obfity w wydarzenia, prawdziwy raj dla felietonisty.

Pomyśleć tylko, zanotowałem w ciągu siedmiu zaledwie dni: młodzież z naszego województwa wybuduje przy pomocy zebranych pieniędzy własnymi rękami swoją szkołę Tysiąclecia w Pabianicach, świetlice szkolne w eksperymentalnym powiecie skierniewickim zdały egzamin na piątkę, nagrody. „Dziennik Łódzki wystąpił z interesującą inicjatywą, chce uczynić z Łodzi nie tylko fabryczną, ale i handlową stolicę włókna, domaga się stałych targów i kiermaszy państwowych ciuchów a redaktor Borowik skrzyczał przez radio radomszczańskich chłopów. Świateł ostrzegawczych przy wozach nie mają, noce są nieprzyjemne, wypadki na szosach częste, a świateł ostrzegawczych nie ma. Można jeszcze dodać, że chłopi jeżdżą od niepamiętnych lat na odwyrtkę, po lewej stronie, żaden dekret nic tu nie pomoże, tylko milicja. Jeżeli bowiem rząd zgodzi się już na tę lewą stronę, to oni będą jeździli prawą. Ino na wsi jesce dusa, co się z fantazyją rusai Tyle tylko, że od człowieka bezpieczniejszy jest na szosie zając — powiedział Borowik.

A znowu nasz „Ekspress Ilustrowany" wystąpił z inicjatywą otwarcia katedr piłkarskich przy Akademiach Wychowania Fizycznego. No, więc będziemy mieli profesorów zwyczajnych piłki, prorektorów do spraw naukowego kopania, proponowałbym od siebie adiunktów kolarstwa, ono też licho u nas stoi, jeżeli nie liczyć handlu bezdewizowego i docentów hokeja na lodzie. Może pomoże, a w każdym razie będzie się można tymi katedrami łudzić, do następnej klapy. A wtedy wymyślimy co innego, wyjazdy Polskiej Akademii Nauk dla piłkarzy, albo bezalkoholowe życie sportowe.

A propos. Nasza łódzka MO poinformowała w ubiegłym tygodniu opinię publiczną, że zlikwidowała już kilkadziesiąt spelunek sutenerskich. Pomińmy już szczegóły, spuśćmy zasłonę na działalność łobuzów, pijaków i demoralizatorów. Ważny jest tu — jak sądzę — klimat moralny czasu w którym żyjemy, on wiąże w pewną całość budowę szkoły przez młodzież z beztroskim uporem woźniców, świetlice z pomysłowością dziennikarzy sportowych, a nawet działalnością MO. Ważny nie tyle poprzez fakty, ile przez ludzkie działanie, które ten klimat kształtuje.

Dowiedzieliśmy się w ubiegłym tygodniu, że właśnie nie kto inny, ale nasza MO wespół z Towarzystwem Przyjaciół Dzieci i rodzicami dokonały w listopadzie czegoś, co nie nazywa się zbyt efektownie — badano jak dalece łamie regulamin uczniowski nasza młodzież. W ciągu 13 kontroli na terenie śródmieścia stwierdzono, że 273 nieletnich łgało, oszukując rodziców, udawało naukę, podobnie udawali piłkarze, że grają. A w gruncie rzeczy — kawiarnia, winko, uliczna włóczęga po nocy.

Dziwnie się plecie w tym ludowym świecie, pozornie dalekie od siebie fakty rodzi w gruncie rzeczy ten sam klimat moralny, radosny, gdy chodzi o szkoły i świetlice, smutny, kiedy mowa o sutenerach i łamaniu regulaminu przez młodzież. Klimat osobliwy, dwoisty, jeśli powstają w nim zjawiska ujemne, następuje również społeczne przeciwdziałanie.

Właściwie, można by żywić pewne wątpliwości — a cóż to za przeciwdziałanie, milicyjna kontrola, czyli końska kuracja, nie ma nic wspólnego z wychowaniem. Myślę, że tak nie jest. Po pierwsze nikt jeszcze nie wychował dziecka powtarzając łagodnie: Andziu, nie rusz tego kwiatka, po drugie — akcjami kontroli zainteresowali się zainteresowani i wcale nie jest źle, kiedy rodzice na własne oczy przekonają się, dokąd chodzą nasze grzeczne dzieci, to pozwala poznać sytuację, a po trzecie? Po trzecie zakładamy Uniwersytety Powszechne, tam tatusie i mamusie zdobywają wiedzę z zakresu psychologii, pedagogiki i medycyny, o tym donosiła prasa w minionym tygodniu. A ja doprawdy sam już nie wiem, komu ta wiedza bardziej jest potrzebna — piłkarzom, czy ich rodzicom?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Wielkość udana

Pod takim tytułem niejaki Jerzy Adamski w ostatnim numerze „Przeglądu Kulturalnego" bardzo się oburza *„dowiedziawszy się o przyznaniu Grahamowi Greenowi, pisarzowi o światowym rozgłosie, nagrody im. Pietrzaka".*

„Głębia — pisze ów Adamski — moralizatorsko-religijna Grahama Greena jest w oczywisty sposób czymś sztucznym, zewnętrznym, udawanym. Czymś na handel. Temat nieskończonego oddalenia człowieka od mistycznego źródła Łaski, temat rozpaczy grzesznika jako dowodu na istnienie Boga, to nie jest wynalazek Greena. On go przejmuje, ale przejmując go od autentycznych, choć mało ortodoksyjnych, pisarzy katolickich, sprowadza go do formuł takich jak: „Bóg istnieje tym bardziej, im mniej się w Niego wierzy; im bardziej się grzeszy, tym bardziej się w Niego wierzy; im bardziej się grzeszy, tym bardziej rosną możliwości wygranej na tej loterii, która nazywa się Łaską Boską..." Oto pseudogłębia. Oto źródło owej mistycznej, chorobliwej atmosfery, która policyjną, komercyjną powieść Grahama Greena czyni w oczach pewnych czytelników arcydziełem. Oto jak Graham Green bawi się w wielkiego pisarza".

Tak pisze ów Adamski, być może, ma rację, być może, światowy rozgłos Grahama Greena jest istotnie niezasłużony, być może, powodzenie jego książek — także i u nas — świadczy tylko o handlowym sprycie tego pisarza. Być może. W tym samym numerze „Przeglądu" niejaki Jerzy Adamski recenzuje wszakże ostatnią powieść Brezy, proszę, oto cytat:

„W jaki sposób Tadeusz Breza umie w „Urzędzie" połączyć drobiazgową analizę owych subtelności z pasjonującą, wartką, sensacyjną akcją — to już jest tajemnica jego artyzmu, tajemnica sztuki powieściowej. Toteż a-nim się obejrzał, gdym się już znalazł głęboko w drugiej połowie książki..."

I dalej:

„Dopiero teraz zacząłem w pełni rozkoszować się obrazem Rzymu i jego okolic, które Breza tak sugestywnie maluje w swej książce. Dopiero teraz uderzyło mnie, w jak znakomity sposób przedstawia on nie tylko poszczególne postacie ludzkie (...) ale i całe środowiska".

Być może, ów Adamski i w tym wypadku ma rację, być może Breza — prozaik to przecież wytrawny — napisał znakomitą powieść. Nie o Brezę przecież chodzi w tym wypadku, a o Adamskiego. Nie tak dawno jeszcze co światlejsi i w językach obcych biegli krytycy nasi zachłystywali się różnymi Faulknerami, Steinbeckami czy Greenami, na krajowe produkty raczej się wybrzydzając. Wszystko to, co polskie, cuchnęło im zaściankiem, mierził ich ten zaścianek, znać nas nawet nie chcieli. Co im, i słusznie, miano za złe. Dziś sytuacja nieco się zmieniła, krytycy jakby spokornieli, kadzą swoim, o co trudno mieć do nich pretensje, jako że niejeden u nas wart jest okadzenia. Przebudzenie sympatii do wytworów rodzimych poszło wszakże w parze z nagłą niechęcią do tego, co obce, trudno zrozumieć ten brak równowagi, na pewno nie świadczy on najlepiej o naszej krytyce. Maluczko, a i moralistykę Faulknera jakiś Adamski nazwie „czymś na handel".

Nagrody

„W dniu 23 listopada w rocznicę powstania Klubu „Od Nowa" przyznawane są doroczne nagrody artystyczne dla młodych artystów poznańskich", w tym roku, jak podaje „Życie Literackie", nagrody przyznano młodemu poecie Ryszardowi Daneckiemu, także dwóm jazzmanom, także kilku młodym plastykom i organizatorom życia kulturalnego w Poznaniu. Za komentarz niech wystarczy westchnienie, poznaniacy ufundowali nagrody dla młodych, dlaczego tylko poznaniacy? Ja wiem, ta zabawa jest dość kosztowna, myślę wszakże, że w konsekwencji się opłaca, bo ci, którzy dziś nagradzają młodych, za kilka lat będą zbierać owoce. Młodych artystów należy karmić nie tylko dobrym słowem, wiedzą coś o tym w Poznaniu, skąd w ostatnim czasie niejeden uciekał (oczywiście, do Warszawy). Doroczne nagrody miasta, przyznawane tu i ówdzie — także i w Łodzi, przeznaczone są zazwyczaj — choć nie zawsze i wszędzie — dla panów z długimi siwymi brodami i nie namawiałbym do uszczęśliwiania nimi ludzi młodych. Czy nie warto by jednak pomyśleć i u nas o nagrodzie młodych? Na owoce, powtarzam, trzeba będzie jeszcze poczekać, praca ogrodnika jest przecież zajęciem dość wdzięcznym.

Wywiad z Dürrenmattem

W ostatnim numerze „Nowej Kultury" znalazłem przedrukowany z tygodnika „Nouvelles Litteraires" wywiad z Friedrichem Dürrenmattem (który przyjechał do Paryża na premierę „Małżeństwa pana Mississipi"), treści, które przynosi ta rozmowa, są dość banalne, świetny dramatopisarz, jak się okazuje, ma niewiele do powiedzenia o swoim teatrze, *można*, powiada, *powrócić do tragedii posługując się sposobami z komedii, dla mnie*, powiada, *teatr to rodzaj rzeźby: scena to niewyczerpana materia*, nie są to, przyznajmy, stwierdzenia rewelacyjne, być może zresztą, nie powinniśmy w tym wypadku oczekiwać zbyt wiele od pisarza, rozmowa z dziennikarzem nie sprzyja na pewno precyzji i odkrywczości sformułowań.

Chciałbym przecież zwrócić uwagę czytelników na zawarte w tym wywiadzie stwierdzenie dość osobiste, *"mam*, powiada Dürrenmatt, *pasję negatywną, tę samą co Ibsen: nie chodzić do teatru. Żeby pisać, nie trzeba widzieć tego, co piszą inni: w obliczu każdego nowego dzieła trzeba odnaleźć coś w rodzaju przyrodzonej naiwności. Dziś literatura stwarza literaturę. Toteż nie czytam powieści, tylko książki naukowe".*

Wynikające z tych zdań zalecenia powinny, jak sądzę, obowiązywać wszystkich pisarzy (rzecz jasna, młodych; starszym nie wypada bowiem udzielać rad). Żyjemy bowiem w czasach, w których literatura zbyt chętnie żywi się literaturą, malarstwo — malarstwem, teatr — teatrem. Pisarz, rzecz oczywista, zmuszony jest do spożywania tego, co przyrządzili jego poprzednicy. Pokarmy tego świata — warto o tym pamiętać — są jednak wartościowsze i pożywniejsze od pokarmów literatury.

ERAZM

Eksperyment „PIWNICA” - udany

(Dokończenie ze str. 1)

go. Organizują spotkania. W zeszłym tygodniu był Wańkowicz.

Pomyślałem sceptycznie: w osławionej „Piwnicy“ zapewne leje się wódzia w rytm rock-and rollu granego przez quasi młodzieżowy zespół, a na spotkanie z Wańkowiczem na pewno nikt nie przyszedł.

Szedłem powoli w kierunku miasta. Bruk nie był wykoszlawiony, a z jezdni sprzątnięto nawet złote liście. Drogę ze stacji do rynku oświetlały lampy jarzeniowe. Z daleka dobiegał hałas przędzalni.

Ludzie szli szybko. Wsiąkali w boczne przecznice. Nikli między domkami. W Komitecie ZMS nie zastałem nikogo. Nieładnie — pomyślałem. „Mały — zaczepiłem przebiegającego pędraka — wiesz gdzie tu świetlica ZMS-u?“ Patrzył na mnie niepewnie. Wzruszył ramionami. A „Piwnica“? — zapytałem z kolei. Chłopak roześmiał się. — „Pokażę panu“. Ruszył przodem.

Zamykano już sklepy. Nad zasuniętymi okiennicami żarzyły się... kolorowe neony. Pod oświetloną rzęsiście gablotą kina „Tkacz“ tłoczyli się gapie. Wywieszano fotosy do następnego filmu. Daleko w cieniu zmierzchu i bezlistnych drzew czernił się

Smacznego... W dniu otwarcia wystawy fotografów-amatorów w „Piwnicy“.

ciężki masyw kościoła. Rozłożysta chłopska fura wymoszczona sianem turkotała obręczami po bruku. Przystanąłem. W wilgotnym powietrzu niosło z daleka znane dźwięki kołysanki Gerschwina...

Chłopak obejrzał się na mnie. „Tam na rogu, gdzie ta lampka“. — wskazał ręką i nie czekając na odpowiedź czmychnął gdzieś w bok.

Prawie pod ziemią, między okienkami piwnic — w mdłym światełku widniało zejście do podziemi.

Z otwarciem drzwi owiało mnie ciepłe powietrze i głośniejszy, głos trąbki.

Wnętrze składa się z trzech niewielkich pomieszczeń. Dużo światła, jasne ściany. W największej salce miejsce do tańca. Na ścianach całe płaszczyzny pokryte świetnie podrobionymi na styl egipski wizerunkami z kraju Ozyrisa. Czerwono. Czarno. Złoto. W dwóch pozostałych — abstrakcyjne kompozycje.

Łkający głos trąbki przechodzi nagle w rwący rytm brutalnie bitej po bębnach perkusji. Dźwięk stwarza, że powietrze staje się prawie materialne. Po chwili znowu trąbka. Grający, stoi rozkraczony, na mocno wpartych w podłogę nogach. Oczy ma przymknięte. Cały rozmodlony w swym złocistym instrumencie. Tańczący zaczynają podrygiwać szybciej. Do głosu dochodzi teraz fortepian. Patrzę na czarne pudło. U góry spostrzegam dużymi literami wymalowany biały numer inwentaryzacyjny i skrót Komitetu Miejskiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zaczynam podejrzewać, że dla tańczącej tu młodzieży słowo partia ma trochę inny wymiar niż dla mojego pokolenia, pokolenia ZMP i drętwych wieczornic. Czy bogatszy, to jeszcze zobaczę, ale na pewno bliższy. A to też jest przecież bardzo ważne.

Próbuję teraz notować. Przeszło rok szykowali swoją „Piwnicę“. Pieniądze otrzymali z Rady Narodowej. 26 tysięcy złotych. Właśnie tyle kosztowały roboty murarskie i meble. Rysunki na ścianach wykonał sam kierownik Klubu tow. Ogiński. Wydali 700 zł. Tyle co na farby. „Piwnica“ to nie tylko tańce. Organizują spotkania. Był już Wańkowicz, Magdalena Samozwaniec a ostatnio nawet premier Nowak. Z dumą pokazują księgę pamiątkową. „Podobało mu się u nas — mówią. Narzekał tylko na wentylację“. Teraz zbierają pieniądze na telewizor. Organizują sekcje twórcze. „Teatralna“ — Szykuje już „Śluby panieńskie“.

„Czy mogę pana prosić“ — słyszę za sobą. Przy stoliku stoi kłaniając się może 16-letnia pannica. Tańczę. Czyżby gospodarze tak dbali o moje dobre wrażenia ze Zduńskiej Woli? Ale chyba nie. Dziewczyna tańczy źle i zachowuje się tak jakbym ją w ogóle nic nie obchodził. Sytuacja wyjaśnia się po powrocie do stolika. W każdy czwartek rządzą tu dziewczęta. Tylko one mogą prosić do tańca. Pamiętając wszelkie nieudane próby na normalnych zabawach wprowadzenia tzw. „białego“ tańca, nie uwierzyłbym w ten zwyczaj gdybym to nie ja wracał z parkietu.

Czas leci szybko. Orkiestra gra często. Tego dnia straciłem wszelkie swoje męskie kompleksy. Tańczyłem każdy kawałek. Każdy taniec to nowy szczegół o mieście i jego życiu. Kiedy patrzy się w oczy dziewczynie z odległości 10 cm wywiad staje się miłym zajęciem. A oto skróty:

Uczennica. Ojciec na „Piwnicę“ jest oburzony. *„Dlaczego w piwnicy? Pewno, żeby było ciemno i żebyście się mogli obściskiwać“.* Córce pozwala jednak przychodzić. Sam nigdy tu nie zagląda.

Uczennica. Cieszy się z Piwnicy. *„Przed tym to tańczyć można było najwyżej na prywatkach“. Rzadko i to też trochę „po cichu“.*

Uczennica. *„Szkoda, że uczniowie mogą być tylko do pół do dziewiątej“.* W czwartek przychodzi najchętniej. *„Nareszcie mogę tańczyć z kim chcę. Nie muszę czekać na łaskę, jak mnie poprosi“.*

Uczennica. Nauczyciele w szkole są podzielonego zdania. Są i przeciwnicy „Piwnicy“. Jeden z pedagogów użył podobno kiedyś złośliwie określenia: *„Aleś się rozplastusiowała“* (Platuś — nazwa „Piwnicy). Dyrektor sam zatwierdza listę członków. Jedną osobę skreślił. *„To był straszny łobuz“* — dodaje.

Uczennica technikum. Lubi tu przychodzić. *„W czwartek przynajmniej nie muszę się oglądać czy mnie jakiś chłopak zaprosi do tańca. Wiem, że mogę przyjść sama i też się będę bawić“.*

Robię szybko statystykę. Nikogo z młodzieży pracującej w miejscowych zakładach pracy. Postanawiam jutro wyjaśnić tę sprawę. Czyżby zalążek ekskluzywnej Piwnicy powiatowych inteligentów?

Dochodzi 20.30. Na parkiecie zostaje tylko parę par. Młodzież szkolna musi „Piwnicę“ o tej porze opuścić. Nikt ich do tego w tym momencie nie nawoływał. Zrobili to sami, bez ociągania. Za przebywanie w lokalu po godzinie wyznaczonej, a ustalonej w porozumieniu z władzami oświatowymi, traci się kartę wstępu. Nie warto ryzykować.

Kiedy otwierano „Piwnicę“ kartę wstępu mógł dostać każdy. Nie tylko członkowie ZMS-u. *„Staraliśmy się wpuścić wszystkich* — opowiada kierownik klubu. *W 40 wypadkach na 100 podejmowaliśmy ryzyko“.* Z jednej strony chcieli jak najwięcej młodzieży zabrać z ulicy, a równocześnie bali się ryzykować dobrą opinią lokalu. Słowo „chuligaństwo“ w Zduńskiej Woli jest znane nie tylko z gazet.

Pomogła im jak zwykle... opłacalność. Nie opłacało się rozrabiać. Podnosić nagle dziewczętom sukienki, przynosić po cichu wódkę. Za przyłapanie w lokalu w stanie nietrzeźwym traci się kartę na trzy tygodnie. Były już takie wypadki. Rogów ulicznych do wystawania wieczorem kiedy pada deszcz jest wiele. Ale „Piwnica“ z tańcami jest jedna. Nie opłaca się.

Co myślą o tym mieszkańcy Zduńskiej Woli? Wychodzę na ulicę — jest już pusto. Miasto kładzie się do snu. Zatrzymuję dwóch człapiących pijaków. *„Panie,* — bełkocze trzeźwiejszy — *tam jest burdel. Jak oni dziewuchami w tańcu szarpią i wódę piją“.*

Starsza kobieta — *„A bo to będzie z tego co dobrego? Tam na ścianach są niemoralne rysunki“.*

Mężczyzna w średnim wieku. *„Deprawacja“* — stwierdza zdecydowanie. Proponuję, żeby wszedł i zobaczył. — *„Panie* — odpowiada — *tam przecież wpuszczają tylko czerwonych“.*

Następna kobieta — *„Nic mnie to nie obchodzi“.*

Tu w Zduńskiej Woli nie może po uliczkach wolno spacerować czas. Nie ma miejsca

Z uchylonych drzwi „Piwnicy“ słychać „St. Louis Blous“. Zaczynam się orientować, że kolorowa roztańczona „Piwnica“ w której słychać obcy uliczkom małego miasteczka rytm, zwyczaj, który pozwala prosić dziewczętom chłopców do tańca, zabawa bez wódki i dziwaczne esy floresy na ścianach — nie u wszystkich w Zduńskiej Woli zyskały uznanie. Strażacka zabawa — tak. No... kino. Ale lokal dla dzieciaków — to już za dużo. To trudniejsze w przyswojeniu niż neony i anteny telewizorów. Obyczajowość małego miasteczka kształtująca się wciąż wpływami kościoła — nie znosi takich eksperymentów.

Idę pustymi uliczkami. Ostatnia jeszcze dziś rozmowa. Na ścianach saloniku plebanii wisi portret jakiegoś biskupa i duży krzyż harcerski. Proboszcz rozmawia z rezerwą. Ma nisko spuszczone oczy i mówi powoli.

Co myśli o „Piwnicy“? Nic nie wie. Nie był. Może powiedzieć tylko to co mu opowiadają. Pijaństwo. Niemoralność. Orgie. Tak orgie. Tam się nic dobrego nie dzieje.

Na propozycję żeby sam poszedł zobaczyć, ksiądz proboszcz odpowiada oburzony. *„Przecież mnie tam nie wpuszczą. Oni nas nienawidzą“.* Po całej rozmowie wydaje mi się że o nienawiści to należałoby mówić nie z tej strony .

Ranek jest mglisty. Gdzieś z daleka gwiżdże lokomotywa. II Sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR z jakimś miłym rozrzewnieniem mówi o „Piwnicy“ i miejscowej młodzieży. Zrozumiałe. Jest z zawodu nauczycielem. *„Pomogliśmy im* — mówi — *Lepiej, że się tam bawią, niż na prywatkach. Gdzie i sama mamusia niekiedy podsunie wódeczkę w myśl zasady, jeden kieliszeczek nie zaszkodzi. Tu każda matka może przyjść. Zobaczyć. Są takie. Przychodzą, obejrzą i tylko proszą, żeby przed nocą córkę z tamtąd wypędzić.*

Było wielu sceptyków. Sam komendant MO nie był pewien czy nie będą mieli „więcej roboty przez tę „Piwnicę“. Nie wierzyli, że nasza młodzież może bawić się i bez alkoholu“.

Teraz też jest jeszcze wielu przeciwników.

Na pytanie jaką pozycję ma w miasteczku kościół, tow. Piekarczyk wzrusza ramionami. Stara się pozyskać młodzież. Ale już nie tą starszą. Organizuje dla ministrantów nawet boiska. Dostarcza sprzętu sportowego. I ciągle narzeka. „Opowiem wam coś — mówi — kiedy w szkołach była jeszcze przedtem religia raz w tygodniu kościół czuł się poszkodowany, że nie może naprawdę dostatecznie krzewić wiary katolickiej wśród młodzieży. Teraz kiedy nauka prowadzona jest w kościele okazało się że wymiar godzin tygodniowo pozostał ten sam — 45 minut tygodniowo“.

Moje wczorajsze obawy znane są i w Komitecie. Za mało młodzieży robotniczej. Może to, że muszą być staranniej ubrani na tańce do Piwnicy trochę ich odstrasza? — zastanawia się tow. Piekarczyk. Ale to dobrze — dodaje — jak się człowiek bawi, to powinien być schludniej ubrany. To słuszna zasada. Trzeba młodzież do tego przyuczać.

Więc gdzie jest przyczyna że do „Piwnicy“ nie chodzą?

Niskie, duszne sale Zakładów Bawełnianych wydają się całe dygotać od huku maszyn. Nie sprzyjają dyskusji. Wychodzimy za każdym razem na korytarz. Rozmowy się jednak nie „kleją“. Każdy wzrusza ramionami. *„Brak czasu“, a w ogóle to jak tam załatwić tę kartę“.* Nie mówią szczerze. Zmieniam metodę. Ja jeden i ich po parę osób naraz. Teraz oni są w rozmowie większością. Mówią śmielej. Sprawa wyjaśnia się szybko. Jest przyczyna i są winni. Pierwsza chyba bolesna. Wstyd. Tak wstyd. *„Bo czy ze mną takie z gimnazjum będą chciały tańczyć? Ja nie umiem się tak zachowywać jak one chcą“, „My nie mamy takiego manikiuru jaki one mogą mieć“.*

Powoli wyłażą ludzkie kompleksy. Ambicje. Wyłania się i wina ZMS-u. Źle pojęty wstyd młodzieży robotniczej nie napotkał wyciągniętej ręki ze strony ZMS. Organizatorzy nie zadali sobie dostatecznie wiele trudu, aby wciągnąć młodzież robotniczą do nowego lokalu, który napewno był już w swym projekcie bliższy bardziej oczytanej i wyrobionej towarzysko młodzieży gimnazjalnej niż tej, stojącej przy warsztatach. Może poczuli się niepotrzebni? Może nawet gorsi — na tle stylizowanych ścian nowego lokalu? Może własnie stąd wypływały projekty, które słyszałem na każdym piętrze poszczególnych oddziałów, *„zróbcie dla nas osobne potańcówki. Chcemy się bawić osobno“.*

Niektórzy usiłowali mnie przekonać, że ich świat i sprawy, są zupełnie obce sprawom młodzieży gimnazjalnej. Nieprawda. Na normalne zabawy w szkołach przychodzą, choć wstęp jest tylko dla uczniów. Mało tego, jak potwierdził jeden z wychowawców, dziewczęta z miejscowego gimnazjum mają swoje sympatie wśród chłopców pracujących w „Bawełnie“.

Wydaje się, że przyczyny są jeszcze inne. Młody chłopak który po skończeniu szkoły, idzie do pracy, chce jak najprędzej poczuć się dorosły, a jeśli nawet nie poczuć się, to zachowywać się tak jak gdyby był już dorosły. W tym okresie pali papierosy i pije wódkę nawet jeśli mu nie smakuje. Pierwsze torsje i zatrucia alkoholem to jest właśnie cena, którą płaci za swoją dorosłość. Jak więc tracić tu tyle wysiłku i jednym pójściem do młodzieżowo-szkolnego lokalu przyznać się z powrotem do swojej młodości? Szkoda.

Czy na pewno?

Odpowiedź na tę wątpliwość pozostawiam już miejscowemu ZMS. Może należałoby z początku zorganizować parę potańcówek dla poszczególnych zakładów? Może biorąc pod uwagę pracę w fabrykach na trzy zmiany, obniżyć koszt karty wstępu z racji niepełnego wykorzystywania jej w miesiącu? Pomysłów jest przecież wiele.

Towarzysze ze Zduńskiej Woli mają tyle pięknego i pożytecznego zapału, że chyba rozwiążą i tę kwestię.

Zrobili już dużo. Uzyskali swój własny lokal. Wierzę, że z czasem, choć na pewno nie zupełnie wszyscy, zmienią o nich zdanie, a młodzież z „Bawełny“ czuć się będzie w Piwnicy jak w swojej własnej świetlicy. Lepiej. Czego im szczerze życzymy.

Podwiązki puszczają i w „Piwnicy“. Jednak ci fotoreporterzy to wścibskie szelmy

Tekst i zdjęcia: KRZYSZTOF SZMAGIER

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

SKANDAL w świecie literackim

Przyznanie dorocznej nagrody literackiej Goncourtów za powieść „Bóg narodził się na wygnaniu", której autorem jest Vintilja Horia, pisarz-emigrant rumuński, ściągnęło na Akademię Goncourtów gromy i dużo kąśliwych uwag ze strony francuskiej prasy literackiej.

Na domiar w parę dni po zapadnięciu niefortunnej decyzji okazało się, że ten o niewinnym wyglądzie i anielskim spojrzeniu Rumun był członkiem faszystowskiej organizacji „Żelazna Gwardia" i pisywał peany pochwalne na cześć Hitlera w rumuńskiej prasie gadzinowej.

We Francji zawrzało. Mówiło się nawet o możliwości odwołania przez jury kompromitującej decyzji, tym bardziej, że nagrodzona powieść wzbudza poważne zastrzeżenia.

Jeszcze przed ogłoszeniem werdyktu jury prasa zwracała uwagę, że od czasu ustanowienia nagrody Goncourtów to jest od roku 1903, Akademia wyróżniła w okresie pięćdziesięciu siedmiu lat jedno arcydzieło (Prousta „W cieniu zakwitających dziewcząt") i siedem, osiem dobrych książek (co na przestrzeni 57 lat jest, istotnie, mało!), podczas gdy pozostałe nagrodzone powieści okazały się mierne i nie wytrzymały próby czasu. Dodać warto, że w dorocznych głosowaniach przepadły tak bezspornie wybitne pozycje (na korzyść miernych), jak „Jean Barois" Roger Martin du Gard'a, który w 1937 otrzymał nagrodę Nobla za cykl powieściowy „Les Thibault", jak „Pod słońcem szatana" Bernanosa lub „Podróż do kresu nocy" Celine'a i wiele innych.

Tygodniki literackie sugerują złośliwie, że gdy ludzie inteligentni debatują w większym gronie, wówczas podejmują decyzje, których sami później żałują, a bardziej agresywni krytycy powołują się na znane dzieło Gustawa Le Bon „Psychologia tłumu", w którym autor dowodził, że w tłumie sumują się i wpływają na powzięcie decyzji w sposób rozstrzygający tylko elementy ujemne.

Jednym słowem, w tym roku Akademia Goncourtów miała z powodu przyznanej nagrody wyjątkowo złą prasę.

Nie można powiedzieć, żeby powieść „Bóg narodził się na wygnaniu" zasługiwała na dyskryminację, piszą recenzenci literaccy, ale też nikt nie uwierzy, aby w ciągu roku nie ukazało się parę lepszych utworów, przy czym wymienia się Claude Simona, Henry Thomasa, Jean René Huguenina i innych.

Najostrzej potraktował laureata Andre Wurmser przypominając, że Vintilja Horia nie wrócił po wojnie do Rumunii, tylko „wybrał wolność" i między innymi zawędrował do generała Franco do Hiszpanii (ano, każdy wybiera sobie „wolność",

Vintilja Horia

Alfred Kern

jaka mu odpowiada!). Wurmser wyśmiewa gadulstwo i bełkot w utworze Horii, wydaje mu się zabawne, że jury wyróżniło tę właśnie powieść, i kończy swą recenzję uwagą, gdyby był katolikiem, to byłby wściekły z powodu nagrodzenia takiej miernoty jak „Bóg narodził się na wygnaniu". O cóż idzie w tej powieści? Utwór ten jest rzekomym dziennikiem Owidiusza, autora „Sztuki kochania" (przetłumaczonej na polski przez Juliana Ejsmonda) i „Metamorfoz". Horia opisuje ostatnie lata poety latyńskiego na wygnaniu, którego całe życie było jakoby poświęcone poszukiwaniu Boga, narodzonego również na wygnaniu, jakim było przyjęcie kształtu człowieka przez Chrystusa.

Krytycy uważają tego rodzaju deformację, jaką zademonstrował Horia na Owidiuszu, za nadużycie graniczące z nieuczciwością. Z dzieł Owidiusza wynika niedwuznacznie, że na wygnaniu wzdychał on do uroków i przyjemności, jakie dawał pobyt w Rzymie, i że jest nieprawdopodobne, aby ten wyrafinowany Rzymianin mógł doznać objawienia za pośrednictwem nieokrzesanych ludów scytyjskich, wśród których przebywał na południowo-zachodnich kresach w granicach dzisiejszej Europy.

Odnosi się wrażenie, że Horia przeniósł na wygnanego Owidiusza własne przeżycia jako emigrant rumuński, ale — jak słusznie zaznacza krytyka — powinien był do tego celu wybrać bardziej odpowiednią dla siebie i bliższą mu duchową postać.

Poza tym wszystko w tej powieści jest pozbawione życia, postacie powieściowe to manekiny w strojach antycznych, które wiodą uczone rozmowy.

Napisany poprawnie, utwór ten, zdaniem krytyka z tygodnika „Arts" Mathien Galeya, nie wnosi nic do literatury francuskiej, w każdym razie nic takiego, co by zasługiwało na uwagę, i Galey stwierdza wyraźnie, że wyżej ponad powieść Horii stawia „Quo vadis" Sienkiewicza.

Znacznie surowszy jest Wurmser z „Les Lettres Francaises", który zauważa kąśliwie, że „Oryginalność" tej powieści polega chyba na braku jakiejkolwiek oryginalności, i że utwór jest „budujący" aż do śmieszności.

Wyróżniona nagrodą Teofrasta Renaudot powieść Alfreda Kerna „Nietrwałe szczęście" („Le bonheur fragile") spotkała się z bardziej życzliwym przyjęciem.

Alfred Kern jest z pochodzenia Alzatczykiem i ma za sobą już parę powieści, z których „Stracony ogród" i „Klown" cieszyły się dużą poczytnością.

W wywiadzie udzielonym reporterowi tygodnika „Les Nouvelles Litteraires" Alfred Kern określił swą powieść jako połączenie kilku prawdziwych historii z życia. Poza tym — mówi — wypowiadam moje najbardziej osobiste przeżycia. Niezmiernie trudno jest mówić o życiu codziennym. Rzecz sprowadza się do pytania: „Coś uczynił ze swym życiem?" Otóż, powstaje trudność w postawieniu tego rodzaju pytania, nawet wobec przyjaciela". Dlatego Kern wyraża zadowolenie, że jest powieściopisarzem i może stawiać podobne pytania za pośrednictwem powieści.

Wurmser wyraża pogląd, że nie ma porównania pomiędzy lichotą nagrodzoną przez Goncourtów, a książką Alfreda Kerna, która ma własny odrębny styl, rozłożone interesująco akcenty i własną moralność, jak pisze krytyk. Powieść jest próbą przeniesienia niepokojów twórczych pisarza na osobę artysty-malarza Pawła Backère. Płótna Backère'a nadają się do tego zadania, gdyż są na pół abstrakcyjne i tłumacza alegorycznie stany duszy malarza.

Pomimo pewnych braków, krytyka chwali powieść, szczególnie za świetnie zarysowaną postać żony malarza. Jej przywiązanie do męża-artysty, oddanie, zaufanie i ofiarność, z jaką dzieli jego twórczy niepokój, porażki i wzloty, są porównywane z nieustającą pieśnią miłosną, brzmiącą od pierwszej do ostatniej karty powieści.

W sumie jednak obie nagrody rozczarowały i zawiodły francuską krytykę literacką, która wypomina jurorom, że Horia winien był otrzymać nagrodę Rivalora (przeznaczoną dla autorów obcego pochodzenia, piszących po francusku), że Akademia Goncourtów zawsze jest przekorna (w zeszłym roku sprzątnęła sprzed nosa damom z „Feminy" powieść „Ostatni ze sprawiedliwych" Schwartz-Barta) i wreszcie, że w tym roku zostali pokrzywdzeni pisarze, o których wspominałem, Henri Thomas, Jean-René Huguenin, a w szczególności Claude Simon, autor znakomitej powieści „Route des Flandres" („Droga Flandryjska").

W świecie umiera rocznie śmiercią samobójców 17 osób na 100 tys. Statystyka Światowej Organizacji Zdrowia (cyt. za „Lekarz Wojskowy", nr 8/1958). W Stanach Zjednoczonych notuje się — zdaniem Benneta (Clues to suicide, New York,, 1957 r. praca zbiorowa) ok. 50 tys. zamachów samobójczych rocznie kończących się śmiercią.

W Polsce — podaję za prof. dr W. Grzywo-Dąbrowskim w 1927 r. tylko w Warszawie było 1.517 samobójstw usiłowanych i dokonanych. W 1928 r. także tylko w Warszawie — 1.533. W 1931 r. odnotowano w całym kraju 3.254 przypadków samobójstw usiłowanych i dokonanych (W. Grzywo-Dąbrowski) Samobójstwa rozszerzone w Warszawie. — Podręcznik Medycyny Sądowej, 1948 tenże).

W porównaniu z tamtym okresem obecnie statystyka samobójstw znacznie zmalała. W 1957 r. samobójstw usiłowanych i dokonanych 1.446, w 1958 r. — 1.564 (Rocznik Statystyczny, 1959 r.).

Najwięcej w Katowicach — 264, najmniej w Koszalinie — 36.

WINCENTY KOTERBSKI

Czy ignorancja życia?

(O samobójstwach)

Dzienniki tegoroczne podały wiadomość o samobójstwie trzech dziewcząt w Mrągowie. Miały one niezwykle trudne dzieciństwo. Dwie z nich były sierotami, jedna półsierotą; przepadały za libacjami, chociaż jako robotnice o b. niskim wykształceniu zarabiały niewiele; kochały chłopców, lecz w mniejszym stopniu były przez nich kochane. Chciały „opromienić" ubogie duchowo życie erotyzmem, zabawami, uciechą; starały się na swój sposób przebić okno na świat w zatęchłych czterech ścianach prowincjonalszczyzny. Nikt nie przyszedł im z radą i pomocą. Nikt nie podał ręki i nie zapobiegł temu, co się stało.

W życiu traktowanym czysto biologicznie, gdzie celowość bytowania mierzy się ilością wypitego alkoholu, nadchodzi zazwyczaj chwila przesytu i niezadowolenia z siebie. Młodociane samobójczynie przeżyły to wszystko. Niektóre z nich zanim podjęły tragiczną decyzję, zanim skapitulowały przed prowincjonalszczyzną, obojętnością i ignorancją otoczenia, ostatnim wysiłkiem szukały dla siebie autorytetów moralnych i kulturalnych w filmowych dramatach miłosnych, w świecie literackiej fikcji i oczarowujących wyobraźnię złudzeń.

Konfrontacja z rzeczywistością we własnym środowisku strąciła nadzieję znalezienia autorytetu dla siebie — **„chłopaka z gotówką, który by kochał tylko mie i bawił się stale ze mną, takiego co by mnie ubierał i był oddany i dobry".** Z biegiem czasu świadomość nihilizmu i znikomej przydatności społecznej wyolbrzymiała, przysłoniła sobą tradycyjną bojaźń przed „grzechem", zerwała więzy jednostki ze społeczeństwem.

Pod wpływem subiektywnych spostrzeżeń i egocentryzmu samobójca rozwija „filozoficzną" apologię dobrowolnej śmierci. „Jakaż to rozkosz być na koniec wolnym, wolnym bezgranicznie. Osiągnięcie tego stanu zupełnej szczęśliwości leży w naszej mocy: bez trudu, bez długiego bólu, bez uciążliwej walki możemy zamienić tragiczny sens życia na boską egzystencję kompletnej niewrażliwości". „Nie lękajmy się śmierci, rozwijajmy raczej jej kult. Wytwórzmy w sobie stan tęsknoty do spokoju, do wiecznej ciszy. Nie żałujmy życia. Jest ono zatęchłą kałużą cierpień, obłudy i podłości". (Wyjątki z dzienniczka samobójcy N., 1926 r.). Samobójca zatracił zdolność społecznego rozumowania, zląkł się brzemienia kłopotów i ten właśnie lęk przed życiem oraz bezgraniczna niewiara w ludzką dobroć wycisnęły zeń słowa uwielbienia dla „spokoju i wiecznej ciszy".

Amerykańscy badacze tego zagadnienia w pracy zbiorowej pt. „Clues to suicide", New York, 1957 r. pod redakcją S. Sheidmana i L. Normana obok samobójstw anomicznych (klęski ekonomiczne) i egoistycznych uwzględniają jeszcze samobójstwa altruistyczne. Pozbawienie życia w przekonaniu samobójcy — altruisty jest korzystne dla innych, a dla niego stanowi szlachetne wyjście z trudnej sytuacji. Afirmacją teorii o samobójstwach — altruistycznych jest przypadek jaki zdarzył się we wsi N. pow. łódzkiego oraz list innego samobójcy.

Pewien zamożny gospodarz tej wsi zachorował na nerwicę reaktywną. Wszyscy pospolicie przezywali go „nerwus", bo często lubił nakrzyczeć i zgromić za byle błahostkę. Pojechał kiedyś do miasta po zakupy i przepił 200 zł. W domu żona zrobiła mu ostre wymówki. Denat całą noc siedział pod piecem, palił papierosy, następnie włożył czystą bieliznę, poszedł na strych i tam się powiesił. (W. Grzywo-Dąbrowski: Alkoholizm a samobójstwa).

Nie da się zaprzeczyć, że sfera bodźców skłaniających do samobójstwa jest dość rozległa, a przy tym ogarnia różne zakresy zjawisk socjologicznych. W Stanach Zjednoczonych niepokojącym zjawiskiem jest urbanizacja i postępujący zanik stosunków sąsiedzkich w mieście. Paranoia alkoholowa prawie wszędzie stanowi nieodłączne tło samobójstwa i schorzeń umysłowych u samobójców.

Pożegnanie z życiem wywołuje obrazy przeszłości. W nich zabójca szuka ostatniego przebłysku radości i otuchy. „Pamiętam jako młody chłopiec w 1945 r. po wyzwoleniu pilnowałem z bronią w ręku mostu w Makowie, gdzie trzykrotnie Niemcy napierali na most, nie ulękłem się, broniłem do ostatniej chwili, tj. do zwycięstwa. A teraz odczuwam mocne bicie serca i lekki zawrót głowy. „Potem myśli strzępią się, gubią w chaosie". „Przed chwilą przejechał pociąg, lecz nie pod ten się położę"...

„Droga Mamusiu" Ojcze, Siostro i Bracie — nie gniewajcie się na mnie: tak musiałem postąpić. Nie miałem wyjścia z tej depresji pijackiej. Wiem, że przeżyjecie to boleśnie, lecz trudno muszę zginąć. Wasz syn Józek".

W przekonaniu samobójcy czynem swoim może on sprawić przemijającą przejść rodzinie, ale sobie sprawi „ulgę" wyzwalając się od ziemskich trosk kłopotów.

Egocentryczne nawyki i skłonności utrudniają mu zrozumienie szkodliwości społecznej swego czynu.

W wyniku dokonanego samobójstwa społeczeństwo traci jednostkę mniej lub więcej wartościową, ubożeje. Czyn samobójczy dezorganizuje życie w środowisku lub otoczeniu, obniża także celowość pracy, czynów i wysiłków twórczych. Samobójstwo pojmowane jako protest lub veto jednostki skłóconej z panującym porządkiem, wnosi ze sobą powiew anarchii i amoralności społecznej. Charakterystyczne, że postawa taka cechuje m. in. dzieci dokonujące zamachów samobójczych, które popełniają ten czyn w przekonaniu „ja się zabiję, a oni się będą martwić", „rzucę się pod samochód, niech widzą, że ich nie cierpię". (Clues to suicide — rozprawa Bennetta).

„Przejście od skłonności do samobójstwa a pociągiem do zabijania może być nieznaczne" — zauważa W. Grzywo-Dąbrowski (Samobójstwa rozszerzone w Warszawie). Tezę tę potwierdzają wielokrotnie notowane wypadki wymordowania całej rodziny przez małżonka-samobójcę.

Tak więc stajemy przed istotnym pytaniem, jak zapobiegać samobójstwom?

Krzewienie uczuć przyjaźni i wzajemnego szacunku, zwalczanie obojętności na sprawy ludzkie, są tylko jednym z zakresów naszego działania.

W przypadkach zapowiadanego samobójstwa istnieje zawsze możliwość przeciwdziałania. Trzeba niedoszłych samobójców leczyć w poradniach zdrowia psychicznego, które na dłuższe leczenie mogą kierować do zakładów resocjalizacyjnych i szpitali psychiatrycznych na obserwację. Lekarz—powiadają amerykańscy uczeni — dotychczas leczy jedynie uszkodzenia ciała niedoszłego samobójcy, kiedyż jednak zajmie się leczeniem jego psychiki, aby zapobiec na przyszłość samobójstwu. Niech lekarz umiejętnie pouczy jego rodzinę, zainteresuje przedstawicieli organizacji społecznych i zawodowych warunkami życia i pracy niedoszłego samobójcy. Działalność lekarza u nas powinna wspierać zwłaszcza te organizacje, które tak jak PCK, czy Polski Komitet Pomocy Społecznej spieszą z pomocą osobom znajdującym się w złych warunkach materialnych lub zdrowotnych.

Ponieważ krzywa samobójstw szczególnie idzie w górę wśród małżeństw z dziećmi, od organizacji tych i od wszystkich ludzi dobrej woli mamy prawo i obowiązek moralny domagać się otoczenia stałą opieką małżeństwa i rodziny skłóconej lub zbitej przez alkoholizm. Równocześnie dający się zaobserwować w całym świecie wzrost chorób psychicznych i nerwowych wskazuje na potrzebę zorganizowania akcji badań psychotechnicznych ludności.

Są to długotrwałe lecz najskuteczniejsze środki zabezpieczenia społeczeństwa przed nowym Mrągowem.

RYNEK NA CHOJNACH

Tu znajdziesz wszystko, od samochodu do najdrobniejszej śrubki, od ubrań i materiału do budzików i zegarków na rękę, znajdziesz strawę duchową, jakiej nie ma na wystawach księgarskich, białe kruki sensacji leżą na ziemi, do koloru, do wyboru, bierz, wybierz, tu można się ubrać od stóp do głów, proszę paniusiu, niech pani przy mierzy, do twarzy pani w tym kolorze, narzeczony nie zdradzi, kupuję, sprzedaję... Możesz nabyć także psa, bardzo ładny pies, rasowy pies, akwarium, króliki, nie ma rzeczy, której byś tu nie spotkał.

Na tym rynku reprezentowane są wszystkie typy temperamentu i charakteru, tu psychologowie znajdą dowody na swoje próby klasyfikacyjne od sangwiników do melancholików, od pykników do asteników, tu spotkasz wszystkie postawy życiowe, w razie potrzeby pojawi się obok „adwokat", jak spod ziemi wyskoczy pośrednik, on wszystko załatwi, mieszkanie nawet, wystarczy westchnąć, dziesięć par oczu patrzy na ciebie, ocenia. Wesprze cię ramieniem przyjaciel, jeśli zobaczą, żeś chory lub... pijany. Są dobrzy przyjaciele i fałszywi, dobry odprowadzi do domu, fałszywy okradnie. Przy dozie szczęścia i pomocy milicji możesz odszukać „zagubioną" rzecz, którą straciłeś dwa tygodnie temu.

Oto łódzki „Kercelak", raz w tygodniu możesz podziwiać osobliwy koloryt, mieszaninę dawnego obyczaju, gdzie i kiedy spotkasz kupca z przewieszonymi butami przez ramię, harmonia pokreśla ten nastrój, szepty, nawoływania, przetargi. Rynek kipi życiem, czy bawić się w proroka, przepowiadać co będzie na tym placu za rok, dwa, pięć? W pewnym sensie tak — bazary spółdzielcze, państwowe wkraczają na ten rynek, spychają go coraz dalej, zastąpią. Ale tymczasem rynek jeszcze istnieje, chociaż już nie taki barwny jak kiedyś.

TADEUSZ MARTYN

PRÓBUJEMY WINDOLOGII

DŹWIG A SPRAWA POLSKA

Dokończenie ze str. 1

windy jest w pewnym miej scu zupełnie zszarpana i grozi natychmiastowym pęknięciem. Przyspieszył więc kroku, pragnąc spowodować, by windy nie spuszczono już na dół z ładunkiem. Niestety, nie zdążył. W tym momencie klatka przeleciała obok niego z hukiem, roztrzaskując się na dnie szybu. W chwili, gdy się urywała, robotnik wtaczał do niej wózek z ładunkiem. Na szczęście, zdążył uskoczyć.

W budynku mieszkalnym przy ul. Andrzeja Struga nr 3 winda jest stara, ale solidna. Funkcjonowała bez defektów do czasu remontu, kiedy robotnicy zaczęli wozić nią materiały budowlane, przekraczając wielokrotnie dopuszczalny „udźwig". Winda — jako się rzekło solidna, nie urwała się, natomiast pękło serce mechanizmu, tzw. wciągarka. Defekt odkryto znacznie później, w czasie kontroli.

A oto przykład innej treści: Inspektorat Dźwigów w czasie kontroli windy w bloku nr 14 zalecił unieruchomić urządzenie do czasu wykonania niezbędnych poprawek. Jak twierdzą fachowcy, roboty przy naprawach było na 2—3 dni. Kontroli dokonano dokładnie dnia 2 maja 1960 roku. Oczywiście winda do dziś jest nieczynna.

Wspomniana winda przy ul. Struga 3, która tak ładnie została załatwiona w czasie remontu, musiała czekać na uruchomienie okrągłe 3 lata!

Oto komplet — jakże zresztą niepełny — „zagadnień wybranych" z zakresu łódzkiej windologii. Wśród masy spraw celowo wysunęliśmy na początek tylko dwie najważniejsze: skandaliczną często lekkomyślność i niedbalstwo z opieszałością. Taka jest diagnoza wstępna niebezpieczeństw.

* * *

Pamiętają specjaliści, że przed wojną obowiązek poddawania dźwigów pod dozór techniczny istniał tylko w Warszawie i Katowicach na mocy umów zawartych przez rady miejskie z przedsiębiorstwami gospodarki komunalnej.

Łódzkie dźwigi przemysłowe były dozorowane przez placówkę w Warszawie, zaś wind w domach mieszkalnych nie dozorował nikt.

Stan taki utrzymał się do roku 1953. W grudniu tegoż roku ukazała się uchwała nr 998 Prezydium Rządu o obowiązku poddawania dźwigów pod dozór Inspektoratów Dźwigów. W ślad za nią taki Inspektorat powstał w Łodzi. Jednak rozporządzeń wykonawczych do uchwały nie wydano i w praktyce pozostaliśmy przy zasadzie „dobrowolności".

Dopiero w maju 1956 roku ukazało się zarządzenie ministra energetyki w sprawie „dokumentacji niezbędnej do przeprowadzenia rejestracji oraz badań odbiorczych dźwigów". Zarządzenie z pewnością nie przysporzyło dodatkowych „ochotników" do rejestrowania wind, a kto wie, czy nawet nie zahamowało akcji. W oparciu o zarządzenie każdy właściciel windy musi złożyć opis techniczny i rysunek zestawieniowy, by Inspektorat zechciał przyjąć windę pod dozór. Sporządzenie takiej dokumentacji kosztuje około 7 tys. złotych i trzeba długo czekać zanim jakieś biuro projektowe, zawalone „pilniejszą" robotą, zdecyduje się zrealizować zamówienie.

Na dodatek: właściciel nie może być wcale pewien, że Inspektorat przyjmie windę pod dozór, mimo sporządzenia dokumentacji. Bo z dokumentacji może oto wyniknąć, że urządzenie nie odpowiada obowiązującym przepisom bezpieczeństwa.

Na dodatek: wcale nie mamy opracowanych tych „obowiązujących przepisów" — ciągle obracamy się w sferze projektów. Sporządzono już dziesiątą ich redakcję próbną, a lada moment wyjdzie z druku jedenasta.

Na dodatek: stare windy budowano z materiałów solidniejszych, stosowano mosiądz czy brąz. W związku z tym i normy bezpieczeństwa dla takich urządzeń były niższe od projektowanych obecnie. A wciąż jeszcze większość stanowią dźwigi starszych konstrukcji, którym każdorazowo trzeba udzielać „dyspensy" na niezgodność z przepisami, które notabene ciągle się zmieniają.

Jeżeli ktoś nie zrozumiał powyższego mego wywodu na temat kwestii administracyjno - prawno - technicznych zagadnienia windologii, to naprawdę nie moja wina. Próbowałem rzecz przedstawić tak jasno, jak tylko się dało.

Oto następny etap diagnozy: do właściwych naszemu charakterowi narodowemu cech lekkomyślności i niedbalstwa dołączyć trzeba również objaw nieskuteczności przepisów, ich często biurokratyczny nie zaś „życiowy" charakter. Wiadomo, że o wadze i znaczeniu jakiegoś zarządzenia, najlepiej świadczy fakt, czy się go przestrzega na co dzień.

* * *

W takiej chwili następuje tragiczny wypadek. Okazuje się, że „sprawca" od pół wieku nie podlegał gruntownym remontom, że nie bywał kontrolowany przez fachowców z Inspektoratu Dźwigów. Nagle „odkrywamy Amerykę" — oto większość wind w domach mieszkalnych znajduje się w tej samej sytuacji (nawet do nowego budownictwa obowiązek rejestrowania wind wraz z przekazywaniem budynku wprowadzono dopiero w roku 1957). Oto wiele instytucji użyteczności publicznej, gdzie z wind korzysta tysiące pracowników i interesantów dziennie, również „zapomniało" o rejestracji..

I teraz, jak zwykle w takich wypadkach, następuje etap trzeci: nadgorliwości. Wszystkie windy, dobre czy budzące obawy, remontowane wczoraj czy nie kontrolowane od ćwierćwiecza, unieruchamia się. Po co się narażać?

Nagle, zgodnie z zasadą mistrza Kochanowskiego: „Polak mądry po szkodzie", robi się „ruch w interesie". W ciągu minionych 7 lat zgłoszono w Inspektoracie Dźwigów około 650 urządzeń tak przemysłowych, jak i komunalnych. W okresie 2 miesięcy po wypadku — „tylko" 104. Okazuje się, że nawet przemysłowe suwnice w 48 zakładach dotąd pracowały „nielegalnie". Oczywiście, robi się zator w biurach projektowych, bo każdy domaga się dokumentacji, robi się zator w Inspektoracie, bo niesposób dokonywać odbiorów w takim tempie. Rozdzwaniają się telefony, (rach, ciach), mnożą konferencje. (rach, ciach). Działamy!

Ale spokojnie, spokojnie, nie denerwujemy się. Niech tylko ktoś spostrzeże, że windy stoją, a dziura w niebie z tego powodu się nie zrobiła, to wszystko ucichnie, wróci do normy. Tyle, że windy będą nadal nieczynne. Ot, drobiazg...

Pewien windziarz, zapytany przez nas, czy mu się nie nudzi ta praca — taka ciągła jazda w górę i w dół — odpowiedział, że nie ma czasu się nudzić, bo stale zastanawia się, kiedy „poleci".

Dziś te nowoczesne i te archaiczne windy znajdują się w jednakowej sytuacji — poprostu stoją nieczynne. Windziarz musiał sobie znaleźć inne zmartwienia.

Znamy wszyscy bezpośrednią przyczynę unieruchomienia wind w mieście. Ale za nią kryją się dalsze: zacofanie techniczne, niedbalstwo w kontroli i nieudolność administracji.

* * *

Ludziska wspinają się mozolnie po stopniach i trzęsie nimi złość nie do opisania. Sąsiad mieszkający nade mną (piąte piętro, wąska klatka, spadziste schody), człowiek starszy, chory na serce, zatrzymuje się co kilka kroków i odpoczywa. Duma sobie zapewne wówczas, kto za to odpowiada. Ano, nikt nie odpowiada, panie sąsiedzie! Od czasu wydania zarządzeń upłynęło 7 lat! Niech pan sobie tylko pomyśli, ilu przez ten czas zmieniło się „odpowiedzialnych" pracowników na „odpowiedzialnych" stanowiskach. Czytał pan zapewne w „Głosie Robotniczym" wypowiedź magistra K. z Wydziału Gospodarki Mieszkaniowej, który wychodząc z założenia, że najgorsza prawda jest lepsza od jej ukrywania, stwierdził, iż z 58 nieczynnych wind Śródmieścia uruchomi się do końca roku tylko 7, zaś o reszcie będzie można pomyśleć w roku przyszłym.

Niech pan się nie łudzi, panie sąsiedzie. Nie ma naszej staruszki wśród tych siedmiu. W ogóle jeszcze nikomu nie zlecono na nią dokumentacji. Poczekamy. Poczekamy nie roczek, nie dwa.

A wytrzymała była staruszka, prawda? I jakoś się nie psuła. A teraz odesłali ją na emeryturę. Niech tam sobie odpoczywa. W spokoju. Jej ważniejsza koleżanka z gmachu przy ul. Piotrkowskiej 104, też stoi.

Już pan odpoczął, panie sąsiedzie? To chodźmy dalej. Pogadamy sobie znowu na następnym półpięterku i jakoś nam ta droga zejdzie...

* * *

Tak można przedstawić w skrócie stan badań windologicznych w szesnastym roku funkcjonowania naszej administracji terenowej i przedsiębiorstw gospodarki komunalnej.

JULIAN BRYSZ

Zdjęcia: WACŁAW BILIŃSKI

Dozwolone od lat 14. Surowo zakazuje się czytania przy obiedzie. Zaleca się planistom, ergo ekonomistom. Nawet do poduszki...

KIM JESTEŚ „CZARNY LUDZIE"?

KRZYSZTOF POGORZELEC

Widmo krąży po kraju. Cecha charakterystyczna — 100-gębna fama i trochę prawdy. A imię jego — bezrobocie rzekłby wieszcz, który wieszczył.

W tym miejscu maleńkie post scriptum: Nie jestem Kubusiem-podjadkiem, ani tym co to wszystko wie najlepiej. Spróbowałem jedynie ustalić fakty.

DWA ŁYKI

— Niestety — danych statystycznych, bez których w tym przypadku ani rusz. Proponuję bowiem zawrzeć bliższą znajomość ze sprawą, o której plotka powiada, że „grób i mogiła".

Gram w otwarte karty. Więc jest u nas bezrobocie czy go nie ma?

Oto jest pytanie. I wcale nie retoryczne. Zaraz serwuję najświeższe liczby.

Najpierw jednak pytanie — ile osób w kraju aktualnie poszukuje zatrudnienia?

Według Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w roku 1959 osób zarejestrowanych i starających się o zatrudnienie było w Polsce około 51,4 tys. Natomiast wolnych miejsc w fabrykach i różnego typu przedsiębiorstwach było 78,8 tys. W roku bieżącym sytuacja uległa jednak pewnej zmianie jak twierdzi „ŻYCIE GOSPODARCZE" charakteryzują ją dwa nowe fakty; „Po pierwsze liczba osób poszukujących pracy przekroczyła 84 tys., powtóre — ilość wolnych miejsc w pracy jest niższa od liczby osób, które zgłaszają się o pomoc do urzędów zatrudnienia".

W tym miejscu chciałbym przytoczyć znowu za „Życiem Gospodarczym" inne dane, które moim zdaniem rzucają pewne światło na wytworzoną w tej chwili sytuację...

W marcu 1960 roku w ponad 80-tysięcznej rzeszy osób poszukujących od dłuższego czasu pracy — mężczyzn było 31.700, kobiet — 56.700. Jednocześnie rejestry w urzędach zatrudnienia na terenie całego kraju wykazywały zgłoszonych wolnych posad odpowiednio: dla pierwszej grupy — 47.200 i dla drugiej zaledwie 4.300.

Jeszcze bardziej znamienną jest „struktura terytorialna" zapotrzebowania na siłę roboczą przy czym opieram się tutaj na materiałach opublikowanych przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej. Oto one.

Grupa województw północnych — 6.700 mężczyzn pozostawało czasowo bez zatrudnienia. Równocześnie na tych terenach urzędy zatrudnienia dysponowały 8.300 wolnymi etatami. Polska zachodnia notowała w tym czasie na rynku pracy sytuację... remisową: 6.400 poszukujących i 6,4 tys. posad do obsadzenia. W centrum kraju było jednak już inaczej: 16.500 ubiegających się i 10 tys. miejsc. Słowem — na jednego „poszukiwacza" przypadało na tych terenach zaledwie 0,6 wolnego etatu. Ale za to w woj. katowickim i w miastach wydzielonych stałych petentów „pośredniaka" było w tym czasie 2.100, a urzędy dysponowały 22 tys. propozycji.

Prawdziwa szarada, którą niezmiernie trudno rozwiązać!

Sięgnijmy więc po nowe fakty...

ŁÓDŹ A „SPRAWA POLSKA"

Nie byłbym łodzianinem, gdybym w tej chwili nie sięgnął do przykładu rodzinnego miasta.

Mam przed sobą dokument, który w urzędowej nomenklaturze nazywa się „wykazem osób poszukujących pracy, znajdujących się w ewidencji wydziału zatrudnienia w Łodzi oraz zgłoszonych wolnych miejsc pracy na dzień 25 listopada 1960 r.". Wynika z niego, że w tym czasie w grupie pracowników umysłowych zarejestrowano 165 osób w tym 115 kobiet, młodocianych było ogółem 162, pracowników wykwalifikowanych 58 oraz „innych" — 68. Razem — 453 osoby i... 3.854 wolne miejsca pracy.

A więc?

ZAKLĘTE REWIRY

Przykro mi, ale rzeczywistość nie jest tak piękna jakby to się mogło pozornie wydawać. Pani mgr. Zofia Skiba z Łódzkiego Wydziału Zatrudnienia podała mi również pewne szczegóły i teraz wiem, że potrzebni są przede wszystkim technicy, wolne miejsca pracy czekają na inżynierów, księgowych, kreślarzy, ekonomistów, wykwalifikowanych kierowników sklepów, zakłady poszukują wykwalifikowanych tkaczek, prządek, pomagaczek, a przedsiębiorstwa budowlane lastrikarzy, zbrojarzy, majstrów, cieśli, polerowników, dekarzy, betoniarzy i hydraulików. W cenie są więc zawodowe „nacje", do których przywiązane są konkretne umiejętności.

Wreszcie młodociani. Opinia kierownika Wydziału mgr H. Piaseckiego.: „— Większość to dziewczęta, które nie ukończyły nawet szkoły podstawowej. Najczęściej proszą o pracę gońca".

Przypatrzmy się teraz, co reprezentuje druga strona czyli — „poszukiwacze".

W dziale pracowników umysłowych — trzymam się ściśle informacji uzyskanych w łódzkim Wydziale Zatrudnienia — wśród petentów kobiet przeważają osoby z wykształceniem średnim, zupełnie pozbawione zawodowej praktyki, lub z wykształceniem podstawowym. Mężczyźni: część z nich posiada nawet dyplomy wyższych uczelni, ale... z kierunków, dla których nie ma zapotrzebowania.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że dziedziny, w których trwale występuje głód siły roboczej, a więc rokujące znalezienie odpowiedniego zatrudnienia będą dla dużej części tych osób, nie reprezentujących przecież żadnych umiejętności, zaklętymi rewirami i pozostaną niedostępne. Chyba...

Ale czy w XX wieku wypada wierzyć w cuda?

LUDZIE KRÓTKIEGO DYSTANSU

Wydaje mi się, że dostatecznie jasno sprecyzowałem odpowiedź na pytanie — problem, który dla jednych jest straszakiem, widmem bezrobocia, a dla drugich — nie mniej antypatycznym „czarnym ludem".

Skłaniam się ku tym, którzy twierdzą, że pewną poprawę można osiągnąć kosztem specjalnych dotacji, preliminowania funduszów umożliwiających w drodze różnych kursów odpowiednie przekwalifikowanie zawodowe „poszukiwaczy". Z drugiej jednocześnie strony uważam, że sedno sprawy pt. zatrudnienie leży mimo wszystko wśród młodocianych petentów „pośredniaka", gdyż to oni stale powiększają ilość osób, których nazwiska figurują w rejestrach urzędów zatrudnienia.

Różnie się to nazywa. Jedni mówią — wielka fala, inni — silne roczniki powojenne, a ja po prostu znowu sięgnę po liczby. Krótko: jeżeli w roku 1959 przybyło naszemu miastu około 7 tysięcy 14 i 16-latków, to w roku bieżącym ten wskaźnik urasta o dalsze 4 tys. młodocianych do podjęcia pracy, a za 12 następnych miesięcy będzie już ich — podaję to na odpowiedzialność Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego — ponad 12 tys. osób.

Wprawdzie w tej chwili w rejestrach łódzkiego Wydziału Zatrudnienia figurują zaledwie 162 nazwiska młodocianych, ale nie wolno przymykać oka na fakt, że bywają i takie dni, w których przez pokój nr. 19 domu przy ul. Wólczańskiej przewija się 50 i więcej interesantów mających niewiele ponad 14 lat. Wszyscy oni oferują swoją pracę.

Z jakim spotykają się przyjęciem?

Nim na to odpowiem słowo o marzeniach zawodowych naszych Staśków, Irek i Franków...

A więc najwyższą cenę posiada dla pewnej grupy młodzieży... gońcowanie. Ten „zawód" jest niezmiernie popularny u obu płci. Dalsze miejsca zajmują: pomoc fryzjera, krawca, posada telefonistki, słowem — typowe zawody krótkiego dystansu, nie rokujące wprawdzie świetlanej przyszłości, ale również nie wymagające specjalnego wysiłku ani umiejętności.

A teraz ad rem: co im się proponuje?

Na ogół podjęcie nauki konkretnego fachu, choćby takiego jak przędzalnika, tkacza, drukarza, elektryka, ślusarza, hydraulika.

Niestety jakże często te oferty zawisają w próżni!

OBAWY I KONTROWERSJE

Pomin; ten ostatni moment, gdyż niedługo prawdopodobnie przestanie on być aktualny. Po prostu — nowe przepisy stawiają sprawę jednoznacznie: bez przynajmniej podstawowego wykształcenia nie przyjmą nikogo w żadnym zakładzie, a jeżeli podejmiesz naukę zawodu to w pierwszym roku dostaniesz fabryczne stypendium w wysokości 260 zł, na drugim — 320 zł, a na trzecim nawet 500 zł.

Świat będzie więc niedługo... piękny, o co więc kruszymy kopie?

Otóż właśnie, że jest o co, bo istnienie odpowiednich przepisów prawnych to jeszcze nie wszystko. Tak np. w Łodzi działa w tej chwili kilka szkół, które mogą wchłonąć przynajmniej część młodzieży chcącej uczyć się metodą przyzakładową jakiegoś zawodu. Niebezpieczeństwo nie sprowadza się, niestety, jedynie do skromnej ilości tych placówek, ale bierze swój początek w twardej i z konieczności stosowanej zasadzie, w myśl której „nabór" do szkoły odbywa się tylko w miesiącu wrześniu. W ten sposób tylko raz w roku otwierają się możliwości zdobycia fachu. No dobrze, a co z tymi, których w międzyczasie życie, trudne warunki materialne w domu wyrzucą nagle za burtę „normalnej" szkoły podstawowej? Wyniki obserwacji poczynionych przeze mnie w poczekalniach domu przy ul. Wólczańskiej każą mi twierdzić, że i takich osób jest bardzo liczna gromada.

Zresztą również i z tą ilością placówek naukowych, które mogą wchłonąć i nauczyć fachu młodocianych kandydatów do zawodowej pracy — nie jest najlepiej. Na Wólczańskiej dowiedziałem się, że w tym roku tak się szczęśliwie złożyło, iż z odsieczą przyszedł Łódzki Zarząd Budownictwa, który otworzył dla 14 i 16-latków Zasadniczą Szkołę Zawodową, oczywiście — budowlaną. W tej chwili jest to prawdziwa klapa bezpieczeństwa, dzięki której spora gromadka młodocianych petentów łódzkiego Urzędu Zatrudnienia prawdopodobnie zamiast obijać się wieczorem po Piotrkowskiej podejmie rzetelną naukę budowlanego rzemiosła.

Sprawa nie kończy się jednak na tym. Mgr Piasecki oświadczył mi, że w przygotowaniu znajdują się propozycje utworzenia nowych placówek kształcenia młodzieży. Niestety, w tej chwili jeszcze nie wiadomo, w jakich kierunkach zawodowych pobiegnie to nauczanie, słowem jakich specjalistów oraz ile otrzymamy za lat trzy. Ten stan rzeczy musi budzić niepokój. Znana jest mi np. historia Technikum Galanterii Skórzanej w Łodzi. Intensywnie rozbudowane wypuszczało ono ze swoich murów wykwalifikowanych rzemieślników, dla których z braku możliwości znalezienia zatrudnienia trzeba było — na skutek interwencji Wydziału Zatrudnienia Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — zorganizować... specjalną spółdzielnię.

Czy przypadkiem za lat trzy wobec braku synchronizacji poczynań w dziedzinie tworzenia nowych szkół zawodowych przez różne instytucje, nie trzeba będzie wydatkować z funduszu interwencyjnego ileś tam tysięcy złotych na utworzenie „spółdzielni" typu spółdzielnia absolwentów Technikum Galanteryjnego?

To jest moim zdaniem najważniejsze niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo tym bardziej groźne, że może poczynić ogromne spustoszenia w psychice młodego człowieka, wywołać na całe życie uraz, wrażenie, że jest on w istocie społeczeństwu niepotrzebny.

Ekonomiści i planiści oraz socjologowie znają pojęcie bilansu siły roboczej. Myślę, że gdzie ajk gdzie, ale w przypadku młodocianych trzeba wreszcie dać konkretną odpowiedź ilu ich będzie, co będą oni robić, czego ich trzeba będzie nauczyć, JAKIE BĘDZIE ICH MIEJSCE NA ZIEMI.

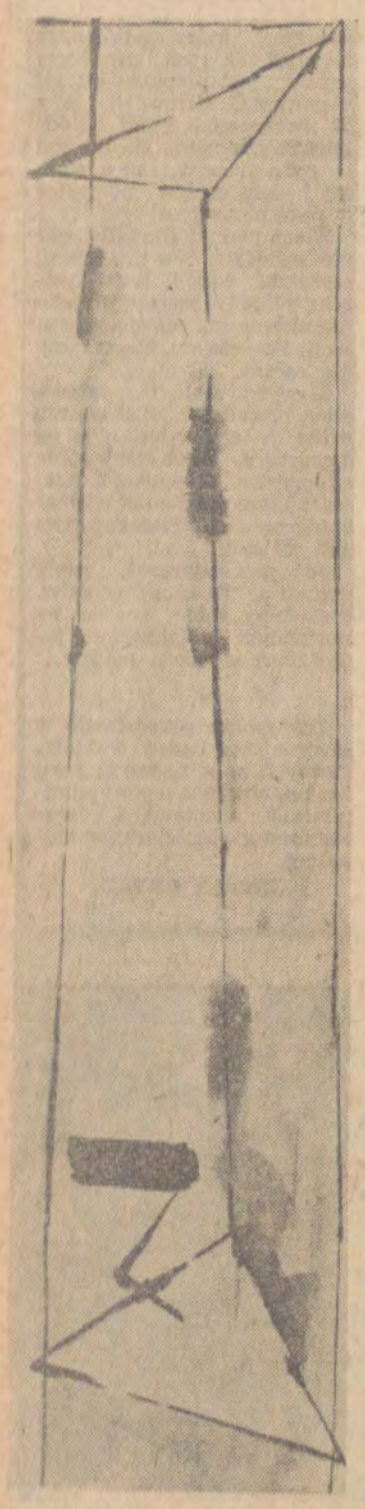

Możecie się z nami nie zgadzać. Jesteśmy zadowoleni, że poświęciliście nam 20 minut swojego cennego czasu. Dziękujemy. A jeżeli z przytoczonych faktów ktoś wyciągnie — nie koniecznie współbrzmiące z naszymi, ale pożyteczne wnioski, będziemy naprawdę wdzięczni.

TADEUSZ PAPIER

Łódzkie sezony

A więc książka o wielkim aktorze, pedagogu i działaczu kulturalnym, książka o łódzkich sezonach Zelwerowicza, przez pięć sezonów Zelwerowicz prowadził Teatr Polski w Łodzi jako dyrektor i reżyser, pierwszy po wojnie szerszy zarys monograficzny działalności tego aktora i reżysera. Wanda Lipiec przełamała „zmowę milczenia", sądzę, że można użyć takiego sformułowania, dotychczas nie mieliśmy książki traktującej o dziejach teatru łódzkiego, „Zelwerowicz i scena łódzka" wypełnia tę lukę.

Pisząc tę dziennikarską relację — książka Wandy Lipiec jest wydarzeniem, którego nie wolno pominąć, to pasjonująca lektura nie tylko dla miłośnika teatru! — trzeba z góry powiedzieć o trudnościach, które wyłoniły się przed autorką w związku z brakiem źródeł ściśle teatralnych, recenzji, na skutek czego opisy gry aktorskiej, zwłaszcza w odniesieniu do wcześniejszych okresów, są „bardziej szkicowe i ogólnikowe"; brak jest także niektórych dokumentów archiwalnych, przepadły w czasie wojen egzemplarze reżyserskie biblioteki Łódzkiego Towarzystwa Teatralnego, „jednym źródłem są zdekompletowane materiały prasowe i wspomnienia członków zespołu Zelwerowicza", jest to brak, który autorka często wypomina, co nie pozostaje w dokumentach, ucieka bezpowrotnie, ważność naocznych świadectw podkreślał wielokrotnie Leon Schiller. Mimo tych luk książka jest rewelacyjna, dla wielu czytelników taką się okaże, wyłania się z niej nie tylko portret Zelwerowicza, zarys jego drogi twórczej, od pierwszej roli w „Woźnicy Henschlu" Hauptmana do żebraka w „Elektrze" Giraudoux, prac reżyserskich od „Dziadów" i „Wesela" do Gorczyńskiego „W noc lipcową", jest to nie tylko kronika łódzkich sezonów teatralnych (Zelwerowicz przebywał w Łodzi w latach 1908 — 11 20 — 21, 45 — 47), książka Wandy Lipiec zawiera kawał historii Łodzi, mówi o tradycjach, które na ogół nie są znane, to jest pasjonująca lektura. Autorka notuje repertuar, ocenia porażki i sukcesy, analizuje nie tylko artystyczne osiągnięcia, odsłania politykę kulturalną w mieście, pisząc o dydaktyczno społecznej działalności Zelwerowicza, kreśli założenia jego polityki kulturalnej nie tylko jako dyrektora teatru.

Przecież to surowe miasto, pełne kontrastów społecznych, które dla jednych było miastem obiecanym, dla drugich miastem niedobrym, miało błyskotliwe epoki sceny polskiej, od Michała Wołowskiego, który w latach 1896—1900 stworzył teatr „prawdziwie artystyczny" (u Wołowskiego zaczynał Zelwerowicz) właśnie do Zelwerowicza (u niego zaczynał Jaracz). Dzieje tych lat dostarczają nam interesujących obrazów, konfliktów, przez długie lata teatr był najważniejszym centrum życia kulturalnego Łodzi, scena łódzka, pisze autorka, w pewnych okresach była najbardziej twórczą i odważną sceną byłej Kongresówki, „dystansując pod względem repertuaru teatry warszawskie". „Zdaje się, że kto zechce odetchnąć atmosferą wielkiej sztuki polskiej, ten odtąd będzie musiał jeździć do Łodzi. Tam teraz znalazł schronienie geniusz dramatyczny polski pod skrzydłami pana Zelwerowicza..." — stwierdza Wilhelm Feldman.

Znaczenie teatru w dziejach Łodzi jest niemałe, nie da się do niczego porównać, to jest w pewnym sensie scena doświadczalna, a także polityczna, Leon Schiller nazywa Zelwerowicza „namiętnym nowatorem", „znamy jednak granice tego nowatorstwa, powiada Schiller, zakreśla je „instynkt teatralny" i coś, co brzmi jak paradoks... miłość starego teatru". Po to, żeby stwarzać nowe, trzeba dokładnie znać stare, „kto chce jak np. Mallarmé „fantazje syntaktyczne" tworzyć, musi znać dobrze prawidła syntaksy", „burzyć bez planu, po amatorsku nie można". Eksperymentując opiera się Zelwerowicz na młodych, młodzi znajdują w nim sprzymierzeńca, opiekuna, lata 1908 — 11, stwierdza autorka, to okres najbogatszy, „bohaterski okres Zelwerowicza jako dyrektora, reżysera i aktora".

Prof. dr Tadeusz Sivert stwierdza w przedmowie, że praca Wandy Lipiec stanowi ważny wycinek dotyczący historii teatru w Łodzi, ważny i interesujący, tym bardziej czekamy na zapowiedzianą przez PAN książkę o dziejach tego teatru. Będzie to również książka o tradycjach kulturalnych Łodzi, komuż one nie są bliskie?

Wanda Lipiec, Zelwerowicz i scena łódzka, Wydawnictwo Łódzkie. Z prac Zakładu Historii i Teorii Teatru Instytutu Sztuki PAN, 1960, str. 317, cena zł 25. —

STANISŁAW CIEŚLAK

Porozumienie z Markiem Ciceronem

Pożegnaj teraz Marku forum
mnie ten spokój razi nawet w dobrym słowie

I zechciej tylko Marku
puścić tak jeden cugiel swojej złotej mowy
i popróbuj zaniechać wykwintnych aluzji
a każda dziś sąsiadka do ucha kumoszki
przez drzwi pleść będzie pocieszne kawały
o tym łysym Cezarze —
rakarzu cnót ślicznych Rzymianek

Ale Marku Tobie są obce pasiaste pejzaże
wystarczy Ci powiedzieć
kubeł wodę nosi
a Ty zaraz
roztropność jak jagnię
koniecznie pilnujcie

Bo Tobie dzban polewany wodę tylko nosi
a w kubeł gębę każesz chować
więc zapytam Cię jeszcze
cóż Ty najlepszego zrobiłeś kochanie

ucho się urywa i dzban się raz tłucze

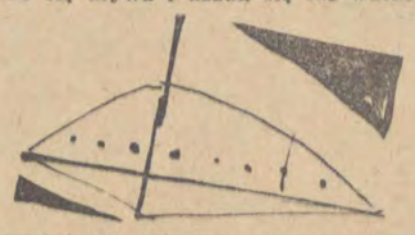

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Znieczulenie i wrażliwość

Obserwujemy wzrastający kult maszyny. Ludzie wierzą w niezawodną i pewną maszynę: zegar, stoper, manometr, metronom, fonograf itp. Maszyna nie tylko zaostrza i udoskonala ludzkie zmysły, ale i strzeże niejako ich normalności, utrzymując je w równowadze i eliminując z natury rzeczy wszelki przypadek, złudzenie i chimeryczność.

Ale z drugiej strony wszystko, co nas dzieli od maszyny, czyni nas właśnie ludzkimi, stanowi o naszej genialności — ba! — doskonałości, niewspółmiernie wyższej, bo ciągle zmiennej i żywej, od najbardziej doskonałego tworu cybernetyki i syntetycznej maszyny przyszłości — robota. Ewentualna era robotów byłaby jednak zawsze mniej doskonała od ludzkiej, gdyż jej warunkiem byłoby ostateczne znieczulenie, podczas gdy gwarancja wszelkiej genialności a więc doskonałości ludzkiej jest właśnie wrażliwość. A wrażliwość, to źródło — jedno ze źródeł! — wszelkich możliwości dalszego rozwoju kultury ludzkiej.

Powiadają niektórzy, że dzisiejszy stan ludzkości, to stan równowagi chwiejnej między znieczuleniem a wrażliwością. W którą stronę nastąpi ostateczny przechył, nie wiadomo, chociaż niektórzy twierdzą stanowczo, że w stronę znieczulenia czyli maszyny. Byłby to koniec człowieka, a początek ery robota, absolutne zwycięstwo cywilizacji nad kultura.

Nie wydaje mi się to słuszne. Jeśli się przyjmie antynomiczną zasadę rozwoju ludzkości, a trudno, znając dotychczasowe dzieje, nie uznać jej za pewnik, sprawa inaczej się przedstawi. Energia odemkniętego atomu nie tylko znieczula i poraża, ale przede wszystkim pobudza i uwrażliwia. W ten sposób wzrastający proporcjonalnie potencjał woli i wyobraźni ogranicza spontaniczny proces bezdusznej automatyzacji. Człowiek zapanowuje nad robotem i kieruje świadomie jego ślepymi odruchami. I w tym leży sens naszej przyszłości. Ale choć to pozornie nieprawdopodobne, istnieją ludzie, którzy chcieliby wyzwolić niszczycielską siłę „cudów" techniki. I dlatego, kiedy mówimy o sensie naszej przyszłości, mamy na myśli walkę, którą trzeba stoczyć i to zwycięsko stoczyć. Właśnie z ludźmi, których ręce chcą wykorzystać to, co w maszynie jest najgorsze, co niszczy cały dorobek człowieka.

Zwycięstwo odniosą nie znieczuleni, ale wrażliwi. Jacy wrażliwi? Weźmy na przykład dzisiejszą młodzież. Te najmłodszą. Stwierdzana wielokroć przez publicystów i pedagogów obojętność u większości młodzieży wobec sugestii ideowych, niechęć czynnego zaangażowania w jakąkolwiek długofalową pracę społeczną poza doraźną zabawa lub rozrywką towarzyską, zdaje się być główna jej cechą. Tymczasem myliłby się bardzo, kto by tak właśnie sądził. Ta pozorna obojętność większości naszej młodzieży to tylko wyraz — najczęściej uzasadniony — jej nieufności do właśnie znieczulonych, którzy przed kilkunastu laty wywołali wojnę i teraz chcieliby rzucić maszyny do nowej. Pewien zamęt w pojęciach niektórych przedstawicieli starszego pokolenia powoduje ich wyczekująca obojętność, która kryje w sobie pewne objawy znieczulenia i zarazem wrażliwości.

Mówią o tym na wielu stronicach wydane obecnie w dwu tomach przez PIW doskonale pisane **„Listy do pani Z."** Kazimierza Brandysa. Ten sam problem, ilustrowany licznymi, tragicznymi nieraz przykładami z życia omawia szeroko książka Salomona Łastika, wydana przez Wydawnictwo Łódzkie pt. **„Czy Sodoma i Gomora?"**. Przeczytajcie uważnie obie te książki, a przekonacie się, że problem młodzieży w porównaniu z dawnymi wiekami nie przedstawia się wcale gorzej, tylko inaczej. Wzrosło może troche znieczulenie w stosunku do pewnych spraw, to prawda, ale wzrosła także wrażliwość, a nawet nadwrażliwość w stosunku do innych. Znieczulenie w jednej dziedzinie np. kultury ściśle osobistej, intymnej, rekompensuje się wrażliwością w dziedzinie np. praktyki pojęć demokratycznych lub zasad sprawiedliwości społecznej.

A to rokuje dobre nadzieje na przyszłość, pozwala wierzyć w równowagę pomiędzy technicznym i humanistycznym, kulturalnym wysiłkiem człowieka.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Pamięć

Wszystko pochłania czas okrutny
spojrzenia i pocałunki
wiersze zdarzenia
kwiaty obrazy
ciebie w jasnej sukience

Uśmiech przed chwilą
czas zmiesza z wielkimi wydarzeniami

I tylko po latach fala pamięci
na brzeg nocy
na piasek dnia
wyrzuci podartą rękawiczkę
czyjąś śmierć
jakieś słowo nieważne błahe

I twarz nie poddaną czasu przemianom

Nenufar

Gorący oddech lata
zapachy mięty i siana

Tylko nenufar jest chłodny

Waży na liściu szerokim
dotknięcia dłoni i warg

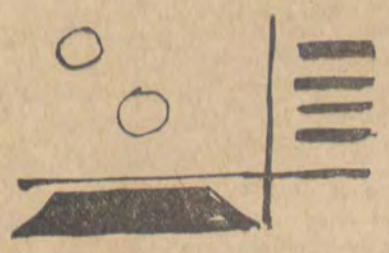

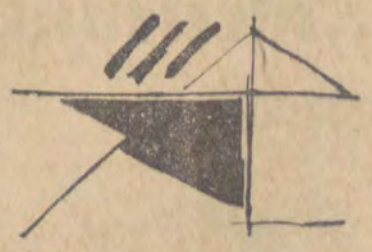

Interglacjał

My w interglacjale
jak między lodowatymi szczękami potwora

My z obłokiem inteligencji u czoła
przesypujący w dłoniach ziarenka cywilizacji
wśród trzasku maszyn cybernetyki

Na policzkach naszych już chłód
nadciągającego glacjału
Ratujcie nas
gorące żarliwe wargi ziemi

Scena zbiorowa ze „Skowronka"

Fot. G Puciato

LEOPOLD BECK

„SKOWRONEK" - ANOUILHA w Teatrze Powszechnym

Dorobek reżyserski Romana Sykały, kierownika artystycznego Teatru Powszechnego, jest ilościowo i jakościowo dość pokaźny — nawet gdy uwzględnimy tylko jego łódzkie inscenizacje. Wspominamy zatem „Nauczyciela tańca", „Pociąg", „Błękitny Patrol", „Archaniołów". Jest, chwała Bogu, czym się pochwalić. I „Pociągiem", i „Patrolem", a przedwe wszystkim ostatnią, ale jednocześnie pierwszą wśród dobrych i bardzo dobrych pozycji inscenizatorskich, bo, powiedziałbym, aż znakomitym przedstawieniem „Skowronka".

Pada wielkie słowo. Słusznie czy nie? Weźmy zatem egzemplarz sztuki, by zobaczyć, co on zawiera i co z tego zrobił Sykała.

„Skowronek" Anouilha, to chyba dalszy ciąg nowoczesnego traktowania tematu, który swoją wielką karierę w dramaturgii światowej rozpoczął jako tragiedia romantyczna o Dziewicy Orleańskiej (Schiller). Po „Świętej Joannie" Shawa, „Skowronek" usiłuje być inną i bardziej nowoczesną interpretacją problemu.

Nowoczesność w traktowaniu klasycznym tematów polega być może między innymi na **wyobcowaniu niektórych postaci z historycznego czasu sztuki.** Autor daje w tekście (lub w podtekście dramatu) swoim postaciom cudowną możliwość **spojrzenia na siebie samą oczami potomnych,** wygłoszenia prawdy o sobie i otoczeniu sentencjami psychologów i — czy ja wiem — jakich jeszcze — logów dwudziestego wieku, nie wspominając już o historykach. Mówiąc zwyczajniej: osoby czasu minionego wygłaszają nowoczesny komentarz na temat tegoż czasu. Anouilh po mistrzowsku z tej możliwości korzysta. Służę przykładami:

Hrabia Warwick mówi o oskarżonej Joannie do Cauchona, przewodniczącego sądu kościelnego:

„Maskarada. To dobre dla dzieci. Piękna, srebrzysta zbroja, sztandar, czuła i nieugięta dziewica — bohater, tak będą ją właśnie przedstawiały posągi, które wystawimy w Londynie. Wygląda na to, że żartuję, dostojny panie, ale za kilka wieków może to być w interesie Rządu Jego Królewskiej Mości..."

Lub Joanna o sobie w rozmowie z Beaudricourtem:

„Widzisz, że tym ludziom trzeba dodać otuchy, wiary, dać im coś bardzo prostego. U ciebie znajduje się dziewczyna, której ukazały się — jak mówi — Święty Michał i Święta Małgorzata. Poczekaj, wiem, co powiesz, ty w bzdury nie wierzysz...

...Czegoż w końcu potrzebują nasi chłopcy... sztandaru, kogoś, kto zespoli ich energię, kto dowiedzie im, że Bóg jest po ich stronie..."

W ten sposób Joanna — wiejskie dziewczę, niepiśmienne i słyszące głosy z niebios, staje się nagle **nowoczesnym komentatorem, uzasadniającym społeczną konieczność powstania mitu o własnym posłannictwie.**

To spojrzenie głównych postaci na siebie oczami potomnych jest metodą Anouilha w „Skowronku". Również w konstrukcji sztuki — jako teatru w teatrze — autor zdaje się już na samym początku podkreślać, iż grany będzie tylko jego komentarz do dziejów dziewicy. Na zakończenie zaś przypomina jeszcze raz o tym założeniu, przerywając po prostu scenę stracenia Joanny na stosie motywacją, że teatr w teatrze nie odegrał jeszcze koronacji. I wszystko kończy się nie makabrą spalenia heretyczki — ale figlem; tryumfem Joanny d'Arc — w pełnym blasku scenografii Mariana Stańczaka.

Nie ma wątpliwości, że scenografia przyczynia się w wielkim stopniu do sugestywności łódzkiego „Skowronka", ale tylko jako część założenia inscenizacyjnego. Trudność znalezienia właściwego sposobu wystawienia tej sztuki jest tym większa, im inscenizator podatniejszy jest na działanie pogłoski, że w „Skowronku", ho-ho, taaka głębia (bo to Anouilh), i w ogóle każda scena ma podwójne dno. Prawdę mówiąc, egzemplarz nasuwa możliwość elitarnego rozwiązania inscenizacji, zmontowania spektaklu bez wielkiej ilustracji scenograficznej, żeby broń Boże nie przytłamsić tego, co najważniejsze — filozoficznej niby treści słów Anouilha.

Sykała nie uległ pogłoskom, chociaż są drukowane. Zrobił z tej sztuki to, czym ona jest: niesłychanie efektowny sceniczny komentarz do dziejów Joanny, poetycki i satyryczny, nowoczesny przez **ciągłe wyobcowywanie postaci z legendy** dla wygłoszenia dzisiejszej prawdy o niej. Treść poznawcza „Skowronka" jest chyba tylko wówczas interesująca, gdy widz za pośrednictwem sztuki poznaje to, co już dawno wszystkim innym wiadomo. Pozostaje więc atrakcyjny temat ujęty w atrakcyjny sposób — czyli wielka pisarska robota dla teatru.

Wacław Scibor nie mógł powrócić na łódzką scenę w lepszej postaci niż jako Cauchon, przewodniczący sądu kościelnego. Jego spokój i godność jak i jego gniew są wyważone z kunsztem. Nie dzięki autorowi panuje on na scenie. W tekście predestynował do tego Inkwizytor (Ryszard Sobolewski), ale ten podporządkowuje **się raczej** sile swego głosu, zamiast podporządkować głos niuansom tekstu, wygrywając ich walory maską, postawą i gestem. Promotor (Tadeusz Sabara) ma popisowy moment, kiedy z jego świętego uniesienia przeciw pięknej a diabelskiej nagości, wyłazi naga żądza. Hrabia Warwick (Mirosław Szonert) jest dobrze ubrany i tak samo zagrany, bo z cynicznym, jak wymaga rola, wdziękiem.

Biedny bracie Ladevenue! Co przeżywać musiałeś wobec gróźb Inkwizytora. A widać, że głęboko przeżywałeś, bo gra ciebie Czesław Przybyła... Ale z królem pokłóciłbym się. Nie dlatego, że brak mu majestatu w myśl wymagań sztuki, lecz z zupełnie innego powodu: Karol (Marian Gamski) przypomina w niektórych momentach za bardzo Idziego Pogódkę z „Archaniołów". A może to nie wina aktora, tylko sprawozdawcy? O arcybiskupie Eugeniuszu Stawowskim pamięta się jako o precyzyjnym portrecie. Beaudricourt (Brunon Bukowski) miał na premierze pecha — dostał zapalenia strun głosowych. Ale ponieważ byłem i na próbie, mogę z ręką na sercu powiedzieć, że widziałem właśnie tępego rezonera, pijaka i babiarza, o którego w tej roli chodzi. La Hire (Andrzej Jędrzejewski), Ojciec (Marian Nowak), Brat Karol Obidniak) — to trzy postacie (przepraszam za trywialną jasność zwrotu) bez pudła.

Nad kobieami górowała oczywiście Joanna — chociażby samym rozmiarem roli, do której Alicja Knast posiada wiele naturalnych predyspozycji: przede wzystkim ujmującą świeżość. Nie sprawiła zawodu, bo zna swój zawód.

Reżyser nie obawiał się, że ilustracja scenograficzna przytłumi „filozofię" sztuki i wybrał w dekoracji i kostiumach drogę **wielkiego widowiska.** Wręcz frapujący jest efekt wywołany za pomocą przezroczystej kotary z ornamentyką gotycką, która razem z dekoracją w głębi sceny i figurantami w mniszych habitach stanowi właściwą introdukcję do sztuki i obraz o wysokich walorach plastycznych. I rzadko kiedy widzi się tak trafny dobór kostiumów, sprzętów, kolorów i świateł, jak w scenografii Mariana Stańczaka.

Wierzcie, w teatrze jest tak jak w miłości: w przedstawieniu można się zakochać, bo jest przecież żywą istotą. Wówczas nie widzi się błędów...

Jean Anouilh „Skowronek". Przekład: Jadwiga Kukulczanka. Inscenizacja i reżyseria: Roman Sykała. Scenografia: Marian Stańczak.

MAREK WAWRZKIEWICZ

W „AKWARIUM"

Foto: W. Biliński

Wszystko mieści się w definicji, którą poeta sformułował w wierszu otwierającym tomik:

...„akwarium, w którym dramat poety się rozgrywa".

(A k w a r i u m)

Wszystko — nie policzymy bowiem ani wierszowanych pocztówek z cyklu „W podróży", ani rzadkich wierszy przynoszących reminiscencje wojenne. Tylko te przekraczają ramy, jakimi Mrozowski ograniczył swój świat, świat swoich poetyckich wzruszeń, rezultatem których jest dość niezwykły w naszych literackich warunkach tomik *). Jeśli wszystko ma się dziać wewnątrz, to musi się nasunąć twierdzenie, że ramy są dość wąskie. Ponieważ jednak nie wolno poecie narzucać rozmiarów i szerokości jego zainteresowań i ponieważ wyłącznie jego sprawą jest ich wybór, wypada tylko zobaczyć czym i jak te ramy wypełnia.

Mrozowski nie miał, jak się zdaje, zamiaru przeciążać swoich wierszy balastem intelektualnych przeżyć, filozoficznych przemyśleń.

Wiersz Mrozowskiego jest zawsze tylko opowiedzeniem obserwacji, obojętnie czy dotyczącej świata wewnętrznego, zewnętrznego czy też powtórnego przeżycia jakiegoś wspomnienia. Wiersz podaje zawsze fakty, które się zdarzyły lub mogły się zdarzyć. Podaje te fakty w formie nie mającej pretensji do nowoczesności, w zwrocie lub w wierszu białym, z rymem czy też bez rymu, ale zawsze tak samo poprawnie pod względem rzemiosła i układnie jeśli chodzi o treść. Zwolennicy „nowoczesności" będą się buntować przeciwko wierszowanej prozie, ale i ona należy do konwencji Mrozowskiego, a konwencją nie należy gardzić.

„Na dworze było jeszcze szaro,
gdy półprzytomny się zbudziłem,
w karafce nic już nie zostało
więc czarnej kawy się napiłem".

(Z J o h n e m B a r l e y c o r n e m, IV)

Strofa ta oczywiście nie jest najbardziej charakterystyczna dla poetyki Mrozowskiego, jest jednak w pewnym sensie przykładowa, mówiąca nie tylko o sposobie pisania, ale i temacie. Pisze Mrozowski przede wszystkim, o nałogu, poeta tę sprawę wysuwa, jest ona jednak tym, co nazywamy banalnie życiowym — a w tym wypadku i poetyckim — motorem. Już nawet nie problem, ale to, że autor odnosi go tylko do siebie, wywołuje pewien dystans między wierszem a jego czytelnikiem. Czytelnik może bowiem tą obsesyjną poezją wzruszać się jedynie jako świadek. A nie sądzę, żeby to było jedyne możliwe przeżywanie poezji.

***) Wacław Mrozowski. Akwarium. Wyd. Łódzkie 1960.**

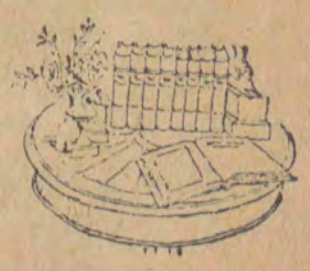

ANDRZEJ BERKOWICZ

Dzieje łódzkich fortun (II)

PROTOPLASTA

W numerze 48 „Odgłosów" zaintrygowaliśmy Czytelników reportażem pt. „Co się stało z Geyerami?". Zanim odpowiemy na to pytanie sięgnijmy w bardziej zamierzchłą przeszłość tego rodu, a więc do dziejów jego protoplasty, którym był Ludwik Geyer.

Ten zupełnie nie pasuje do legendy geyerowskiej, którą znamy. W każdym calu był jej zaprzeczeniem.

Trudno dzisiaj po tylu latach przedstawić pełną sylwetkę Ludwika Geyera. Gazety wtedy nie wychodziły, nikt z żyjących już go nie pamięta, zachowały się jedynie pewne materiały archiwalne, rzucające światło jednak jedynie na ograniczoną sferę działalności Ludwika Geyera. Nie tyle zresztą przetrwały te dokumenty, co ich odpisy, bo oryginały spłonęły w Powstaniu Warszawskim.

Nie wszystko więc wiemy o Ludwiku Geyerze.... Nawet tak prostej wydawałoby się rzeczy, jak to czy władał językiem polskim, czy też nie. Nazywamy go „Ludwik", chociaż on sam wszystkie dokumenty podpisywał „Louis", a na grobowcu dla odmiany wyryto znów „Ludwig". To „Louis" pochodzi chyba stąd, że jego ojciec był prawdopodobnie trębaczem pułkowym w okresie wojen napoleońskich, gdy to książe Louis Ferdinand Hohenzollern był bohaterem narodowym Niemiec.

Jest rok 1826. Fabryczny komisarz, a zarazem naczelnik sekcji fabrycznej w Komisji Województwa Mazowieckiego pan Benedykt Tykel przekracza granicę Królestwa Polskiego, udając się w podróż do Prus, Czech, Saksonii. Pan Komisarz nie jedzie dla przyjemności, powiedzmy od razu, że udaje się z niezwykle ważną misją. Na zlecenie samego prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego, radcy stanu, Rajmunda Rembielińskiego.

W owym roku 1826 mieszka w Łodzi co prawda 31 sukienników, 27 tkaczy bawełnianych, 5 tkaczy lnianych i kilku pończoszników — ale to nie jest jeszcze przecież przemysł. Oprócz tego grozi w każdej chwili, że ci wszyscy drobni tkacze, wobec braku wielkiego przedsiębiorcy, który im będzie dawał przędzę „na lon", wyemigrują. W takiej właśnie krytycznej chwili Rajmund Rembieliński, którego później potomni obdarzą przydomkiem „budowniczego Łodzi" wysyła swojego najbliższego współpracownika komisarza Benedykta Tykla za granicę.

Misja komisarza Tykla jest trudna i niebezpieczna. Trudna, bo jego zadaniem jest znaleźć zasobnych w fundusze, a jednocześnie uczciwych przedsiębiorców (co jak wiadomo nie idzie ze sobą w parze) którzy będą chcieli osiedlić się w Łodzi. Niebezpieczna, bo władze niemieckie przedsięwzięły energiczne środki przeciwko emigracji fachowców do Polski, a przychwyconych emisariuszy polskich aresztowały, co później powodowało szereg komplikacji natury dyplomatycznej.

Nie mamy dokładnych wiadomości o tej podróży komisarza Tykla. W każdym razie wiadomym jest, że musiał bawić w Neugerzdorf pod Loobau w Saksonii, gdzie spotkał się ze „znakomitym fabrykantem wyrobów mody bawełnianej", jak go później określi Rembieliński w swoim raporcie, Ludwikiem Geyerem.

Nie sądzimy, by komisarz Tykel musiał długo agitować Geyera za przeniesieniem się do Polski. W tych czasach tkacze niemieccy robili już bokami na skutek wprowadzenia przez Rosję barier celnych, przy jednoczesnej groźnej konkurencji tańszych angielskich wyrobów bawełnianych na rynkach europejskich. Prócz tego w Niemczech wprowadzono przymusową służbę wojskową, która odciągała od pracy zarobkowej młodych synów tkaczy, w Polsce zaś, w myśl postanowień rządu, oni sami i ich synowie urodzeni za granicą byli zwolnieni od służby wojskowej.

Tym wszystkim właśnie czynnikom zawdzięczamy, że 7 listopada 1826 roku Rajmund Rembieliński mógł donieść ministrowi prezydiującemu w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji:

„Pośpieszam Komisji Rządowej przedstawić deklarację dwóch znakomitych fabrykantów lnianych i bawełnianych towarów, J.P.P. Jana Linke z Czech i Ludwika Geyera z Saksonii w mieście Łodzi osiąść i najmniej po 50 warsztatów zatrudniać zamierzających, którzy już na miejscu przez siebie wybranym wszystko obejrzeli i roztrząsnęli. Nie żądają oni żadnej pieniężnej pożyczki lecz tylko pozwolenie do sprowadzenia za opłatą ²/₃ części cła po 25 centnarów gotowych ale własnych wyrobów, gdyż znaczną fabrykacją są w miejscu posie dla swego na teraz zatrudnienie".

Jest to pierwsza, jaką można znaleźć, w aktach, wzmianka, dotycząca osiedlenia się Ludwika Geyera w Łodzi.

LUDWIK GEYER BLUFFUJE

Ludwik Geyer przybył jednak do Łodzi dopiero w styczniu 1828 roku, a więc prawie w dwa lata od dnia, gdy Rembieliński pisał cytowany raport. Sprawa się przewlekła na skutek opieszałości Komisji Rządowej, która rozpatrywała prośbę Geyera, dotyczącą zezwolenia na sprowadzenie za zniżonym cłem 25 centnarów własnych gotowych wyrobów. Komisja Rządowa w zasadzie akceptowała tę prośbę, a raczej warunek, żądała jednak hipotecznego zabezpieczenia sumy odpowiadającej 3/5 opuszczonych części cła. Ta ostrożność wynikała z poprzednich smutnych doświadczeń. Z drugiej strony Geyer w korespondencji dowodzi, że likwidując pośpiesznie swą fabrykację w Neugerszdorf nie może sprzedać na miejscu swych gotowych wyrobów, gdyż zbytni pośpiech naraziłby go w tym wypadku na straty. Zupełnie logicznie podkreśla, że z chwilą gdy spieniężу te wyroby w Polsce, pozwoli mu to na szybką rozbudowę projektowanych zakładów. Jednocześnie skąd jako cudzoziemiec może znaleźć poręczenie hipoteczne w kraju?

Argumenty Geyera trafiają widocznie Rembielińskiemu do przekonania, gdyż licznymi pismami ponagla Komisję Rządową, pisząc, że... *„bolesnem jest bowiem Komisji Wojewódzkiej, iż cudzoziemców bez odpowiedzi tak długo pozostawiać musi".*

Komisja Rządowa daje wreszcie odpowiedź pozytywną i oto Ludwik Geyer 22 stycznia podpisuje w Warszawie umowę wstępną z komisarzem, naczelnikiem sekcji fabrycznej, znanym nam już Benedyktem Tyklem. W paragrafie 3 tej umowy Ludwik Geyer ma zastrzeżone, że wolno mu będzie sprowadzić do Polski posiadane przez siebie za granicą 10 centnarów „manczesteru" i 13 centnarów wagi polskiej wyrobów półwełniano - bawełnianych za opłatą tylko 2/5 cła. W myśl tej umowy, Geyer, któremu oczywiście nie wolno nikomu tej licencji odstępować, może z niej korzystać dopiero wtedy, gdy udowodni, że zatrudnia na własny rachunek co najmniej 20 warsztatów tkackich oraz zanim nie wystawi odpowiedniej rękojmi, na swoich nieruchomościach w Łodzi zabezpieczającej 3/5 opuszczonego cła. Władze żądają tej rękojmi, by nie ponieść szkody na wypadek, gdyby Ludwik Geyer nie wywiązał się z podstawowego paragrafu tej umowy, który głosił, iż do roku 1838, a więc za lat 10 będzie zatrudniał na własny rachunek 100 warsztatów tkackich.

Teraz dopiero rozumiemy, dlaczego Geyer uzyskuje w ogóle tę ulgę, która w dotychczasowych stosunkach fabrykantów z rządem była prawie bez precedensu. 100 warsztatów tkackich to w roku 1828 była 1/3 wszystkich istniejących warsztatów bawełnianych i lniarskich.

Ludwik Geyer założyciel firmy

Geyer, oczywiście, miał prawo przywieźć ze sobą te gotowe towary, które, dopóki nie spełni podanych warunków, pozostawałyby w depozycie na komorze celnej. Nie przywiózł ich jednak ze sobą. Komora celna w Kaliszu zanotowała jedynie, iż Geyer zjawił się tam z 12 centnarami przędzy bawełnianej oraz nieruchomościami fabrycznymi jak stoły drukarskie, formy do drukowania, farby.

Nie wiedziała jednak o tym Komisja Przychodów i Skarbu, która 16 września 1828 roku wydała polecenie komorze celnej w Kaliszu przepuszczenia gotowych towarów Geyera i wysłania ich do Łodzi pod klucz burmistrza.

Jednocześnie Geyer, który 20 warsztatów tkackich już posiadał, zapisuje kaucję w wysokości 4.000 złotych polskich na swoich budynkach w Łodzi.

Wszystkie przeszkody zostają więc usunięte i Geyer może sprowadzić swoje 25 centnarów gotowych wyrobów, które tak bardzo chciał spieniężyć w kraju. Jeśli nie ma ich w Kaliszu, to może jeszcze teraz sprowadzić je z Saksonii. A jednak tego nie robi. Ludwik Geyer bowiem bluffował —żadnych swoich wyrobów w Saksonii nie posiadał.

Cel bluffu był podwójny: z jednej strony Geyer chciał uchodzić w oczach Komisji Rządowej za człowieka zamożnego, przecież sam Rembieliński pisał o nim jako o „znakomitym fabrykancie" — z drugiej miał nadzieję, że uda mu się coś zarobić, gdy transakcję tę sfinansuje ktoś z niemieckich przemysłowców. Tak, ale żeby interes mógł dojść do skutku, Geyer musiałby udowodnić, że towary te są jego własnością. Ludwik Geyer nie czuł się jeszcze wtedy zbyt pewnie, stąd odstępuje na razie od tej transakcji tym bardziej, że już w rok od osiedlenia się w Łodzi ma pierwszy proces sądowy. O defraudację.

PROCES LUDWIKA GEYERA

Przedstawiamy naszego bohatera na samym wstępie w niezbyt korzystnym dla niego świetle. Bluff, defraudacja — to wszystko raczej by przemawiało za tym, że misja komisarza Tykla była kolejnym fiaskiem. A jednak wbrew pozorom, z punktu widzenia interesów gospodarczych Królestwa, okazała się ona jak najbardziej udana. I Rembieliński również nie mylił się, pisząc o Geyerze jako o znakomitym fabrykancie. Miał rację, co prawda chyba w innym sensie niż myślał. Geyer nie był zamożnym fabrykantem, przybył do Polski z wręcz skromnymi funduszami. W toku wspomnianego procesu defraudacyjnego burmistrz Łodzi zabezpieczył mienie Geyera i sporządził szczegółowy spis rzeczy, które Geyer wówczas posiadał. Niewiele ich posiadał — w każdym razie jak na znakomitego fabrykanta.

„Łóżka, komodę gruszkową o dwóch szufladach, a w nich 4 powłoczki na pościel, 22 sztuki koszul męskich i niewieścich, 4 ręczniki i 1 obrus; zegar stołowy na postumencie, lustro ścienne średniej wielkości, szafa kuchenna czerwona malowana, 1 stolik, 6 krzeselek, 1 flinta, 1 wiatrówka oraz palasz; w szafie z lustrami znaleziono w papierach złotych polskich 105, srebrem złotych polskich 95 oraz różnych książek niemieckich sztuk 58, w szafie bez luster znajdowały się 3 surduty sukienne, 1 walizka z futrem, 4 pary spodni i chustka merynosowa amarantowa. Na facjacie było jeszcze 16 książek".

Miał pan Geyer oczywiście jeszcze warsztaty tkackie, różne maszyny, przędzę — ale w każdym razie początki wielkiego fortunata były nader skromne. Zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że opisany majątek osobisty nie był własnością samego Ludwika Geyera.

Ludwik Geyer przyjechał do Polski z całą rodziną — ojcem Adamem i matką Zofią, żoną Emilią de domo Türk i krewniakiem Krystianem Geyerem.

Minęło właśnie 23 lat, od chwili gdy urodził się w Berlinie, w małym domku, tuż przy Bramie Brandeburskiej. Był więc bardzo młodym człowiekiem, a jednak to on, a nie ojciec, który wówczas liczył sobie dopiero 47 lat prowadzi wszystkie pertraktacje z władzami, podpisuje akta urzędowe i kontrakty osiedleńcze. Ludwik Geyer jest jedynakiem, co podobno należało do tradycji w dotychczasowej historii rodu Geyerów. Dopiero on czyni wyłom w tej tradycji i to dość poważny. Nie uprzedzajmy jednak wypadków, na razie młody Ludwik Geyer nie posiada dzieci, natomiast we wszelkich innych dziedzinach ma rozmach zgoła niebywały. Chyba dlatego stary pan Geyer, „fabrykant mody bawełnianej z Neugerzdorf", chociaż w pełni jeszcze sił, usuwa się w cień. W tym celu zresztą kształci syna w Akademii Berlińskiej i trzeba przyznać, że nie na darmo. Pamiętacie, ile to książek burmistrz Łodzi p. Tangermann narachował u Ludwika Geyera? W tych czasach nie była to rzecz znowu tak zwyczajna. Wszystkie poczynania Ludwika Geyera świadczą, że w swojej branży był doskonałym fachowcem, a nawet wyzyskiwał swą wiedzę dla zmylenia czujności celników, sprowadzając artykuły mniej lub wcale w kraju nieznane.

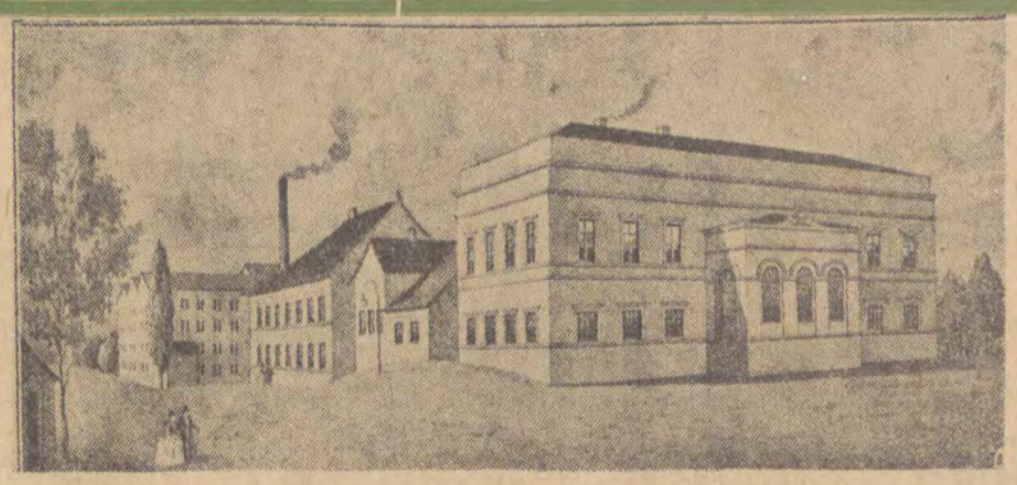

Widok zakładów w r. 1853

Oszustwa celne i inne kanty to tylko jedna strona medalu działalności Ludwika Geyera. Druga — ta pożyteczna jest widoczna od samego początku jego pobytu w Łodzi. Nie czekając na pożyczki rządowe, przydział drewna ani nawet na zatwierdzenie planów przez Komisję Wojewódzką buduje dom drewniany, kryty dachówką przy ulicy Piotrkowskiej, na placu oznaczonym numerem 284. W pierwszym roku osiedlenia zatrudnia już na własny rachunek 20 warsztatów tkackich, systemem nakładczym. Geyer wstawia tkaczom do mieszkania swoje warsztaty i daje im przędzę, wyrabiany zaś przez nich perkal surowy sam drukuje i sprzedaje.

Od razu więc zatrudnił 18 tkaczy, zapewniając im źródło utrzymania.

To są oczywiście wstępne, początkowe kroki, dopiero później Ludwik Geyer udowodni, że jest rzeczywiście „znakomitym fabrykantem", że Rembieliński nie mylił się.

Na razie jednak popada w niełaskę, po wstępnych zachwytach władze zaczynają na niego krzywo patrzeć. Inni fabrykanci otrzymują pożyczki, on na razie ani grosza. Bo też poczyna sobie nie najładniej.

Geyer według kontraktu osiedleńczego miał prawo sprowadzać przędzę z zagranicy za zniżonym cłem. Sprowadzać musiał, bo kraj był pozbawiony prawie zupełnie własnych przędzalni. W Łodzi była wówczas czynna jedna jedyna przędzalnia na Księżym Młynie, założona przez Wendischa. Oczywiście jednak tej sprowadzonej przędzy nie wolno było Geyerowi sprzedawać. Tymczasem już w czerwcu 1828 roku łapią go za rękę, gdy sprzedaje 60 funtów przędzy Izbicy. Komisja Wojewódzka postanawia mu wybaczyć *„przez wzgląd na jego niedawne przybycie do kraju"*, ale musiał jednak Geyer podpisać w biurze burmistrza Łodzi deklarację, iż *„podobnego uchybienia od momentu tego strzec się będę i więcej nie popełnię..."*

Nie ustrzegł się jednak. W rok później Komisja Województwa Kaliskiego nakazuje aresztować Ludwika Geyera wraz z ojcem i odstawić ich do Kalisza. Burmistrz Tangermann nie czyni tego, oznajmiając, że Kalisz nie ma najmniejszego mu prawa rozkazywać, gdyż podlega on przecież Komisji Województwa Mazowieckiego. Zabezpiecza jednak mienie Geyerów, ustanawiając dwóch stałych dozorców, niejakiego Teodora Duczyńskiego i Szymona Szczawińskiego. Bardzo musiał się pan Geyer denerwować, gdy codziennie przychodziło mu wypłacać dozorcom na koszt ich utrzymania 5 zł.

Proces o defraudację ciągnął się długo. Geyer przegrał sprawę w dwóch instancjach, a i prośba o ułaskawienie skierowana do Tronu została odrzucona. W 1833 roku burmistrz obwodu łęczyckiego polecił zabezpieczyć na majątku Geyera złotych polskich 3.014 groszy 23 jako „karę w toczonym kilkuletnim procesie defraudacyjnym". Ale wówczas pan Geyer miał już z czego płacić...

OBIEKTYWNE „ZROBIENIE NA SZARO" TELEWIDZÓW CAŁEJ POLSKI

- *To nie my — powiada Komitet do Spraw Radiofonii i Telewizji — to inspektor pracy tak Was mili barankowie urządził...*
- *Posiadamy w Łodzi studio największe w kraju – 130 kilometrów od wielkiej, telewizyjnej Zosi – Samosi. Jak nie wychodzi to do Łodzi!*
- *...rozkładać publiczne ręce – oto polityka i logika godna naszych najpiękniejszych tradycji narodowych.*

O sprawie zamknięcia studia telewizji warszawskiej piszemy na dwa głosy, oczekując trzeciego...

Nie rozumiemy

(a raczej boimy się rozumieć)

W gazetach codziennych pojawiła się notatka, niezbyt wprawdzie jasna, ale za to długa jak dożywotnie więzienie.

Cytujemy:

„Jak informuje Komitet do spraw Radiofonii i Telewizji, w związku z zaleceniami technicznymi inspektora pracy przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Pracowników Książki Prasy i Radia, zachodzi konieczność dokonania prac remontowych w zakresie warsztatów produkcyjnych i pomieszczeń magazynowych Ośrodka Telewizyjnego w Warszawie.

Spowoduje to w okresie przedświątecznym pewne przejściowe ograniczenie programu nadawanego z Warszawy, zwłaszcza w dziedzinie programu studyjnego.

O zmianach programowych widzowie będą zawiadamiani w formach dotychczasowych i w codziennych zapowiedziach z ekranu".

(tekst w/g. „Dziennika Łódzkiego z dnia 4 grudnia br.)

Z notatki tej na pierwszy rzut oka nic właściwie nie wynika, po drugim czytaniu dochodzimy do pewnych wniosków, po trzecim — wnioski te przestają nam wydawać się oczywiste. Bo przede wszystkim co nas, szarych telewidzów, obchodzi inspektor pracy przy Zarządzie Głównym. Zw. Zaw. Pracowników Książki, Prasy i Radja? Nas obchodzi program, a na skutek czyjego zarządzenia będzie on ograniczony czy zubożony, to już sprawa bardziej odległa, mącąca tylko w naszych i tak skołatanych głowach.

Oto wnioski z czytania pierwszego, ale już przy ponownej lekturze znajdujemy sprytnie ukryty haczyk — TV chce z góry przekazać wszelkie pretensje telewidzów na ręce p. inspektora. — To nie my — powiada Komitet — to inspektor pracy tak was, milj barankowie urządził. Ale i na tym nie koniec, albowiem co dociekliwszy telewidz może się zacząć zastanawiać, jak to się stało, że stan w warsztatach produkcyjnych i magazynach Ośrodka Warszawskiego był tak fatalny, że wymagał aż interwencji inspektora pracy i znów wrócimy do punktu wyjścia...

Byłoby jednak pół biedy, gdyby do tego tylko sprowadziły się nasze wątpliwości. Wszelako i zdanie następne, głoszące iż „...spowoduje to w okresie przedświątecznym pewne przejściowe ograniczenie programu nadawanego z Warszawy", wcale nie wydaje się nam jednoznaczne.

Bo albo chodzi o ograniczenie programu **warszawskiego**, przy czym ciężar programowy przejęłyby inne studia: łódzkie, katowickie, poznańskie i wówczas cała wyżej cytowana notatka w ogóle nie ma większego sensu, albo też chodzi o ograniczenie programu **ogólnopolskiego** i wówczas rozporządzenie inspektora pracy staje się jeszcze jednym dowodem na najweselsze skutki zachłanności programowej Warszawy.

Skupić w ciasnym, nienowoczesnym, przeciążonym studio lwią część ogólnopolskiego programu, doprowadzić do stanu, w którym interwencja z zewnątrz okazała się konieczna i rozkładać publicznie ręce — oto polityka i logika godna naszych co piękniejszych tradycji narodowych.

Ale my się pewno mylimy. Program przedświąteczny będzie bogaty i różnorodny, tyle tylko, że nie nadawany z Warszawy. Autor notatki założył wprawdzie dość pochopnie, że wprawi to w skrajną rozpacz telewidzów z całej Polski, ale ten drobny nietakt wobec **prowincjonalnych** ośrodków łatwiej można przecież wybaczyć, niż obiektywne „zrobienie na szaro" telewidzów z całej Polski.

JERZY PANASEWICZ

PS. Oczywiście kto choć trochę orientuje się w polskich stosunkach telewizyjnych wie dobrze, że powyższa podwójna interpretacja komunikatu Komitetu do Spraw Radiofonii i Telewizji jest dobrodusznie naiwna — odnosi się bowiem do tekstu, a nie do stanu faktycznego. Rzecz bowiem wygląda po prostu tak, iż studia prowincjonalne nigdy przy obecnej obsadzie nie będą mogły poprowadzić programu ogólnopolskiego, czyli że jesteśmy skazani na Warszawę i na warszwskie remonty.

Telerecording, „Ampex" i...

Jak nie wychodzi – to do Łodzi!

Zanim jeszcze ogłoszono w prasie ów przedziwny komunikat o zamknięciu studia warszawskiego, zanim w programie naszej telewizji powstał jeszcze większy bałagan, zanim odpowiednie czynniki zakasawszy rękawy zabrały się do telewizji (co mamy nadzieję już nastąpiło) dyrektor Jerzy Pański umówił się przed kamerą telewizyjną na rozmówkę z red. Pijanowskim. Nie pierwsza to była rozmowa, nie pierwszy raz Pijanowski atakował podparty pod plecy i ramiona przez tysiące listów od protestujących telewidzów.

Tym razem gawędzono o telerecordingu i „Ampexie" — o dwóch rodzajach urządzeń zapisujących programy. Telerecording, jak wiadomo jest urządzeniem niedoskonałym z kliku względów. Notuje on na taśmie filmowej obraz z ekranu telewizyjnego. Taśmę trzeba wywoływać chemicznie co zabiera dużo czasu, osobny zapis dźwięku stwarza możliwości asynchronów no i w końcu zapis dźwięku jak i obrazu jest nienadzwyczajny. Widzowie źle przyjmują takie audycje. Co innego urządzenie amerykańskie typu „Ampex". Zapis dźwięku i obrazu jest tu jednoczesny i dokonuje się na specjalnej, bardzo drogiej, taśmie magnetofonowej, jest to zapis elektromagnetyczny a nie fotograficzny. „Ampex" jest podobno bardzo sprawny, daje absolutną wierność odtwarzania. Niestety jest drogi i trudny do nabycia, ponieważ urządzenia tego rodzaju obłożone są embargo handlowym, gdy idzie o export do krajów bloku wschodniego. Mamy jednak mimo wszystko jeden „Ampex" dostać i wtedy... I wtedy — jak oświadczył dyr. Pański — będzie on służył głównie redakcjom publicystycznym, informacyjnym i sportowym. Słowem na „Ampexie" będzie się nagrywało program do szybkiego wykorzystania nie przeznaczony „na konserwę". Decyduje o tym podobno bardzo wysoka cena taśmy magnetofonowej. Na razie urządzenia nie ma w kraju, więc nie będziemy o cenę kruszyć kopii. Dodajmy tylko, iż największą zaletą „Ampexu" jest to, że program nagrany może być odtwarzany natychmiast po cofnięciu taśmy, jak na zwyczajnym magnetofonie.

I tak sobie proroczo gawędzono o urządzeniach rejestrujących dla naszej telewizji dosłownie pięć minut przed wybuchem bomby z zamknięciem studia. Gdybyśmy mieli dobry telerecording, gdyby już był ten „Ampex" może jeszcze przez parę dni telewidzowie nie zauważyliby tego faktu, (jeśli nie liczyć komunikatu o którym piszemy obok), bo jest jeszcze telekino, a za programami innego typu nikt znów tak specjalnie nie tęskni.

Co się dzieje wiadomo. „Centralny gmach" naszej telewizji nieomal runął. „Express Wieczorny" wskazuje teraz na niewykorzystane wielkie studio telewizyjne w Łodzi. Teraz!!! Ale jeszcze parę dni temu nikt w Warszawie poważnie nie myślał o dopuszczeniu ośrodków prowincjonalnych do większego współudziału w realizacji programu ogólnopolskiego. Jak trwoga to do Boga... Jak nie wychodzi to do Łodzi!... A Łódź nie ma właśnie wielkiego zapasu ani w postaci rzeczy przygotowanych ani „zakonserwowanych", brak jej kadr, brak pieniędzy. Ma tylko piękne studio z nowoczesnym wyposażeniem. Studio największe w kraju, niestety, położone o 130 kilometrów od Warszawy.

130 kilometrów od wielkiej, telewizyjnej Zosi-Samosi, która to jak w dziecinnych wierszykach powiadają „najadła się tyle gruszek, że pękł jej brzuszek".

* * *

Red. Pijanowski na wstępie swej rozmowy z dyr. Pańskim poinformował go o wynikach obliczenia, jakiego dokonał. Mianowicie gdyby na omówienie każdego listu z pretensiami skierowanymi do telewizji poświęcono 1 minutę, to program TV byłby wypełniony przez bite 23 lata. To tak na zakończenie.

W. M.

„Siódme – nie flatruj"

To błaha historyjka o bałuckich gołębiarzach, o ostatnim starym domu na Bałutach, o sercowych kłopotach pary młodych łodzian. Ale jest też w tym wodewilu sens poważniejszy. Oto dawni złodzieje „z branży", fachowcy, zawodowcy mający swój honor i zasady z goryczą mówią o złodziejstwach dnia dzisiejszego, walczą z nadużyciami niektórych kacyków z administracji, z bezdusznością i głupotą. Całą pozostałą naiwność wodewilu można strawić jako, że ten gatunek dramy nigdy nie brał na siebie załatwiania spraw zbyt wielkiej wagi, za to zawsze był miłym naszemu sercu rozśpiewanym lekkoduchem teatru.

W roli Mańki oglądaliśmy Marysię Tomaszewską, studentkę Politechniki Łódzkiej

„Siódme nie flatruj" to właśnie taki lekki wodewil z tym, że łódzki. Do łódzkich zaś spektakli (chodzi o tematykę) nie mieliśmy dotąd szczęścia. Robienie na siłę tradycji w granym swego czasu w teatrze im. Jaracza widowisku, wtykanie Łodzi igrców i brabantów było i nieprawdziwe i nieszczere. Folklor łódzki jest inny, jest młody. Można dyskutować czy właśnie elementy złodziejskie są w nim dominantą, czy to nie rzuca na miasto dziwnego światła, ale zapiski, teksty archiwalne pomieszczane w np. „Trubadurze" kręcą się głównie wokół tych spraw. Może dlatego, że twórczo to środowisko było najaktywniejsze? A może innych tekstów nie puszczała ówczesna cenzura?

„Siódme nie flatruj" — wodewil łódzki spreparowany z tekstów odkopanych w archiwach, spisanych od mieszczuchów Bałut i Dołów oraz napisanych współcześnie przez Janusza Słowikowskiego i Jana Skotnickiego przy współpracy Leszka Skrzydło do muzyki Piotra Hertla, Tadeusza Dobrzyńskiego i Witolda Afelta — ukazany został widzom całej Polski przez telewizję łódzką w ubiegły piątek.

Widziałem ten spektakl na scenie „Pstrąga" i oglądałem go na małym ekranie. Odnoszę wrażenie, że w telewizji zyskał on na zwartości, tempie i przejrzystości. Niewątpliwie to zasługa autora wersji telewizyjnej wodewilu, Tadeusza Woronkiewicza, który pozostając przy koncepcji reżysera teatralnego Janusza Kłosińskiego, dokonał pewnych skrótów tekstowych i przełożył wiele sytuacji na język telewizji. A więc mieliśmy wiele doskonałych zbliżeń aktorów (Pieczyński!), przenikań, jazd kamer, szwenków. To wszystko niewątpliwie ożywiło sytuacje niekiedy (w oryginale scenicznym) dość statyczne.

Jerzy Pieczyński wystąpił w podwójnej roli przewodniczącego DRN i generała

No, i ani jednej sypki, ani jednego potknięcia, audycja poszła jak po maśle i na pewno się podopała telewidzom. Nam też bardzo, i sądzimy, że np. w święta warto by ją powtórzyć.

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

Propozycja dla Wydawnictwa Łódzkiego

Kiedy przeglądamy pozycje wspomnieniowe i pamiętnikarskie, wydane w ciągu ostatnich lat, zastanawia nas brak pewnej książki, która mogłaby być książką pasjonującą. Otóż wydano zbiory wspomnień o Krakowie („Kopiec wspomnień"), Warszawie (szereg pozycji), Lublinie („Stołeczny Lublin") brak natomiast książki o „tłustych" latach naszego miasta, pierwszych powojennych latach, w których Łódź spełniała niejako rolę stolicy.

O łódzkim okresie „Syreny" pisał Jerzy Jurandot, o pierwszych powojennych latach Łodzi pisali również Jan Huszcza, Jerzy Zaruba i inni.

Wydaje się, że Wydawnictwo Łódzkie mogłoby się zająć opracowaniem takiej wspomnieniowej antologii. Ocalono by w ten sposób od zapomnienia spory kawałek historii, jako że te niezbyt przecież odległe lata 1945—48 stanowią dla wielu już tylko historię.

„Kwiecień" na ekranie

Niedawno dowiedzieliśmy się, że powieść Józefa Hena pt. „Kwiecień" (pierwsza nagroda na konkursie Wydawnictwa MON) została zaadaptowana na ekran. W tej chwili prowadzone są prace nad scenopisem. Film realizuje zespół autorów filmowych „Kamera", reżyseruje Witold Lesiewicz. Postać prokuratora dywizji, kpt. Hyrnego, odtwarzać będzie Gustaw Holoubek. Pielęgniarkę wojskowego szpitala gra Maria Ciesielska.

Ładny „Poziom"

W Spółdzielni Wydawnictw Artystycznych i Użytkowych „Poziom" nazwę musiał wymyślić nie lada ironista. Ironia bowiem zawarta jest zarówno w przymiotniku „artystyczny" jak i w samej nazwie „Poziom".

Otóż wpadło nam w rękę „dziełko" przez ową spółdzielnię wydane. Jest to historyjka obrazkowa dla dzieci pt. „Cyrk". Na rysunkach oglądamy parę zrezygnowanych lwów i niesłychanie pokraczne sylwetki cyrkowców. Wszystko to razem jest tak przeraźliwie brzydkie, tak nieudolne, w tak mdłych kolorach, że aż zdumienie wywołuje odwaga twórcy tego „dzieła", który nie zawahał się pod tym brzydactwem podpisać.

„100 lat"

Od dłuższego czasu odbywają się w naszym mieście bardzo skromnie reklamowane występy artystów Filharmonii i Teatrów. Artyści występują bezinteresownie i ta społeczna akcja zbliża ich do słuchaczy chyba bardziej niż występ na „oficjalnej" scenie czy estradzie.

Niech przykładem tej akcji i jej gorącego przyjęcia będzie koncert, który niedawno odbył się w szkole nr 50 przy ul. Fornalskiej. Artystom (między innymi K. Zagórska, M. Wachowiak, S. Pintera, W. Manijak) zapłacono wyłącznie gromkim odśpiewaniem „100 lat". To bardzo wysokie honorarium.

Aleksandrowska „Warszawianka"

Pisaliśmy w swoim czasie o ciekawych przedsięwzięciach mgr Heleny Tukajowej z Liceum Ogólnokształcącego w Aleksandrowie.

Ostatnio pod kierownictwem tego pedagoga młodzież liceum wystawiła w związku z 130 rocznicą Powstania Listopadowego — „Warszawiankę" Wyspiańskiego. Nie próbujemy rzecz prosta oceniać tego przedstawienia pod kątem walorów artystycznych, bowiem do tego typu przedsięwzięć należy przykładać zupełnie inną miarę.

Fakt, że na wszystkich organizowanych przez Koło Historyków imprezach jest nadzwyczaj tłoczno, świadczy o potrzebach kulturalnych tego podłódzkiego miasteczka, potrzebach, których widać nie zaspakaja uporczywie remontowany Dom Kultury.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244 79. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł. kwartalnie 12.— zł. * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPUK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 Z. 1865. XII. 60 R-4

Wielka zabawa w Operetce z „Panną Wodną"

Fot. G Puciato

Co nazywam „konfekcją muzyczną"? Jest to rodzaj muzyki rozrywkowej, który stara się zmieścić w przyjętych szablonach, być jak najbardziej podobnym do tego, co modne. Nie szokuje oryginalnością pomysłów, jest, rzekłbyś, praworządny czyli uznaje autorytet mocarzy mody muzycznej, podporządkowuje się im i rozszerza obszar panowania tuzinkowości w operetce, komedii, koncertach rozrywkowych. Producenci konfekcji muzycznej to przeważnie oblatani zawodowcy, kierownicy orkiestr operetkowych lub tak zwanych salonowych. Ich twórczość ma zapewniony zbyt, ponieważ „zamówienie społeczne" formułuje dla siebie właśnie kapelmistrz zespołu rozrywkowego. Cóż dziwnego, że jako fachowiec w tej dziedzinie, stara się on zadość uczynić „zamówieniu społecznemu" przez swoją własną konfekcję muzyczną, którą jego koledzy — na zasadzie wzajemnych usług — skwapliwie rozpowszechniają. Muzykolodzy niemieccy określili tego rodzaju twórczość mianem „kapellmeistermusik" — muzyka kapelmistrzowska.

Ale konfekcja może być ładna i gustowna, jak np. kompilacja piosenek Lawiny — Świętochowskiego (1906 — 1946), dokonana w „Pannie Wodnej", wystawionej na podstawie libretta J. Słotwińskiego i W. Jastrzębca. Jest to właściwie prapremiera, bo „Panna Wodna" pokazana w Warszawie tuż przed wybuchem wojny w nieco innej formie librettowej doczekała tylko kilku przedstawień.

Libreciści „unowocześnili" tekst, uwzględniając w realiach niezaprzeczalny fakt, że Polska, (do której na „Pannie Wodnej" wybiera się wycieczka Polonii spoza oceanu, uzbrojona w pewną ilość milionerów) jednak się zmieniła.

Zdaje się, że autorzy nie bardzo wierzyli w sukces „Panny Wodnej" i machnęli tekst lekką ręką, przy czym zdarzyło się kilka wykroczeń przeciwko zasadom dramaturgii operetkowej. Ale jednak dostarczyli pretekstu do urządzenia wielkiej zabawy, wystawienia spektaklu o mocnym efekcie rozrywkowym. A i to jest przecież coś warte.

Realizatorzy — reżyser Danuta Dostalik —Baduszkowa i choreograf Józef Matuszewski skorzystali z możliwości dowolnej interpretacji danej im przez librecistów i zmontowali coś w rodzaju rewii. A że każda rewia musi być robiona „pod publiczność", zrobiono tak „Pannę Wodną", co uważam za zasługę, nie za grzech. Ludzie bawią się znakomicie. Przyznaję, że bez podkładu ideologicznego, bo po prostu l'art pour l'art — jak mówią bardziej wykształceni Francuzi. Zabawa dla zabawy.

Ponieważ jestem z zawodu prorokiem, przepowiadam, że „Panna Wodna" dobrnie lekko do stu przedstawień, czego już dawno w łódzkiej Operetce nie było.

Le-Be

„Panna Wodna" operetka w 3 aktach (4 odsłonach). Muzyka i teksty piosenek: J. Lawina — Świętochowski. Libretto: J. Słotwiński i W. Jastrzębiec. Reżyseria: Danuta Dostalik — Baduszkowa. Choreografia: Józef Matuszewski. Scenografia: Bolesław Kamykowski. Instrumentacja i opracowanie muzyczne: Wacław Geiger.

(EXPRESS Wieczorny Ilustrowany, Łódź r. 1929, m-ce VII-XII, nry 211, 229, 231, 235, 238)

KARNECIK TEATRALNY

W Teatrze Letnim w Parku Staszica — dziś i dni następnych „Klejnoty naszych rewii" z występem oryginalnego chóru cygańskiego. Bilety w cukierni Gostomskiego od 10 rano do 7 wieczór bez przerwy i przy wejściu do parku. Dojazd tramwajami 2 i 7.

„TOTALIZATOR ŚMIERCI"

w Rudzie Pabianickiej. Mafia dyktatorów toru usiłuje zwalić odpowiedzialność za tragiczne wypadki na właścicieli stajni. Kombinatorzy warszawscy chcą u nas przez wytworzenie mgły sztucznej zatrzeć ślady swych karygodnych praktyk ze spekulacjami Służewca. Totalizator tento najlepszy interes w Polsce, gdzie naiwnych nie brakuje. W ciągu dwóch tygodni ostatnich „zgolono" ze splajtowanych łodzian około DWÓCH MILJONÓW złotych...

TWÓRZMY CIENIE W PARKACH

łódzkich. Parki nasze to oazy na pustyni murów i kominów. Twórzmy naturalne sklepienia, nie przepuszczające promieni słońca, urządzajmy tzw. w języku ogrodników „perlogi" (rodzaje kurytarzy)...

ŁÓDŹ CHCE LATAĆ

nie dla przyjemności ale dla wygody. Kiedyż otrzymamy komunikację lotniczą? Przecież 600-tysięczna metropolia przemysłu tętniąca przyśpieszonym tempem życia w dziedzinie komunikacji zepchnięta została do roli podrzędnego miasteczka pod Warszawą... Sądzimy, że włączenie Łodzi do sieci lotniczej nastąpi już w roku przyszłym.

TO MI ZAKŁAD...

Nigdzie nie zakładają się ludzie tak łatwo i głupio, jak w Stanach Zjednoczonych. Przegrano tam nieraz rodzoną żonę... Ostatnio założono się tam o żywy funt mięsa ludzkiego. Ten, co przegrał zakład natychmiast udał się do szpitala i kazał sobie wyciąć ślepą kiszkę. Po operacji pięknie zapakowane mięso wysłano zwycięskiemu zawodnikowi...

W „CZARACH" ŁÓDZKICH

Dziś otwarcie sali zimowej po gruntownym remoncie i przeróbce na wzór nowoczesnych teatrów. W programie: Najgenialniejsza artystka świata Dolores del Rio w potężnym dramacie NAPIĘĆ erotycznych pt. „Igrzysko Namiętności".

Wybrał
ZDZISŁAW KONICKI

odgłosy str. 11

KASSO

Bez słów.

Niewielu mieszkańców Węgier nie wie, kim jest Kasso, najbardziej lubiany humorysta tego kraju, prawie tak samo popularny również we Francji i Włoszech; tylko u nas nikt o nim nie słyszał. Nb. stylem rysowania i pracowitością przypomina polskiego karykaturzystę — Gwidona Miklaszewskiego.

Kasso — nazywa się w rzeczywistości Felix Kassowitz, urodził się w 1907 roku w Wiedniu. Podobnie jak wielu świetnych humorystów... nigdy nie studiował malarstwa. Był w młodości stenografem budapeszteńskiej gazety, niebywale wprawnym stenografem — kiedy notował dyktowane teksty, zawsze starczyło mu czasu by w wolnych sekundach kreślić na marginesie stenogramów zabawne figurki i sytuacje. Przeszło to w nawyk — a później stało się zawodem.

Coś ze stenografii przetrwało jednak w tych żartach: Kasso rysuje prościutkim, komunikatywnym stylem — kropka, kreska, przecinek...

Zadebiutował jako karykaturzysta w sławnym i zasłużonym francuskim piśmie humorystycznym „Le Rire". Przez 15 z górą lat (1929—45) przebywał we Francji, utrzymując się wyłącznie z rysowania. Do kraju powrócił w tydzień po proklamowaniu Węgierskiej Republiki Ludowej, od razu zaczął pracować jako organizator, kierownik artystyczny i reżyser wytwórni filmów rysunkowych. Od 1951 roku — poświęcił się wyłącznie żartom obrazkowym.

Feliks Kassowitz jest przede wszystkim humorystą, choć czasem wyczuć można w jego dowcipach delikatną, cienką nutkę ironii. Współpracuje nadal z „Le Rire", lecz najwięcej żartów drukuje w budapeszteńskim tygodniku satyrycznym „Ludas Matyi".

(JERT)

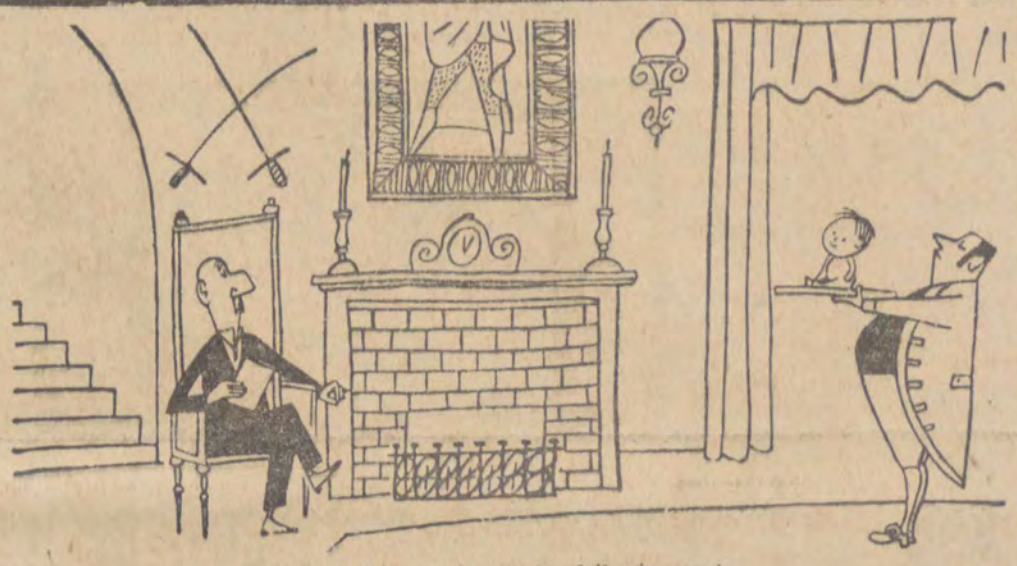

— Jaśnie panie — urodził się syn!

Muza karykaturzysty

— Dlaczego nie ustępujesz miejsca starszym?

NASZA KRZYŻÓWKA

Poziomo — 1) Stopień naukowy, 6) Pierwiastek promieniotwórczy, 7) Imię żeńskie, 9) Masowe zgromadzenie ludności, 11) Nastrojowy utwór muzyczny, 13) Płot, 15) Tkanina jedwabna przetykana złotą lub srebrną nicią, 17) Inicjator, twórca lub winowajca, 19) Imię Koczalskiego, znanego wykonawcy utworów Fryderyka Chopina, 20) Nazwisko ojca ukochanej Wokulskiego 21) Imię żeńskie, 22) Człowiek wybitny, przodujący.

Pionowo — 2) Rodzaj wykładu lub seminarium, w czasie którego profesor stawia pytania słuchaczom lub prowadzi rozmowę w związku z wykładanym przedmiotem, 3) Nasza ojczyzna, 4) Postać z „Pana Tadeusza", 5) Ptak, 8) Wódz kartagiński, 10) Przeciwieństwo, 12) Ścisk, 14) Kwiat 16) Statek, 18) Ptak.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 38

Poziomo — bibliografia, Susz, prymat, drakon, wyskok arkada, tren, Skierniewice,

Pionowo — brom, instruktor, rozdawanie, foka, kontrast, Kali, kadi.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Irena Sadowska**, Łódź, ul. Próchnika 22 m. 17
2. **Feliks Haro**, Łódź, ul. Narutowicza 32, m. 10.

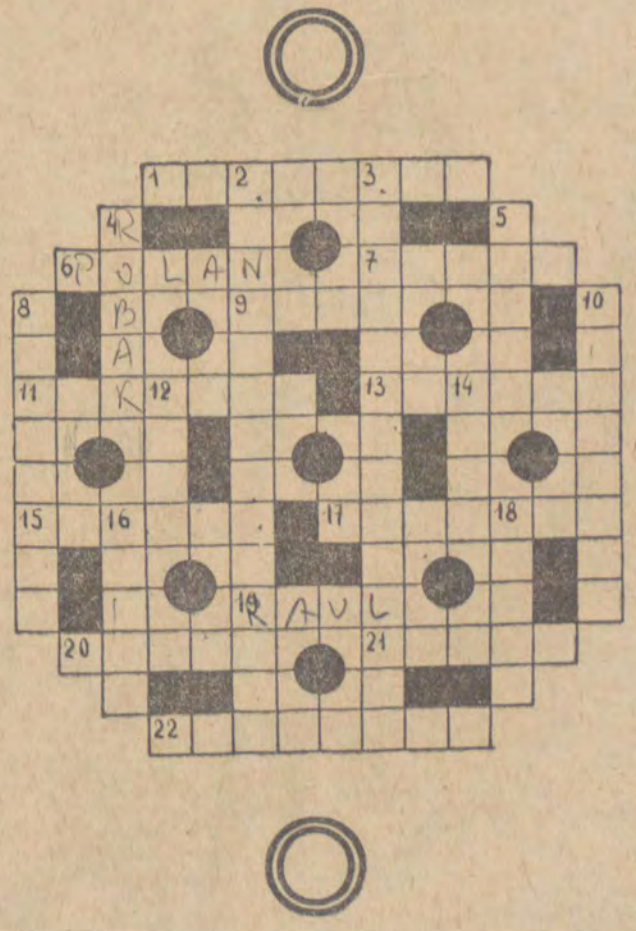

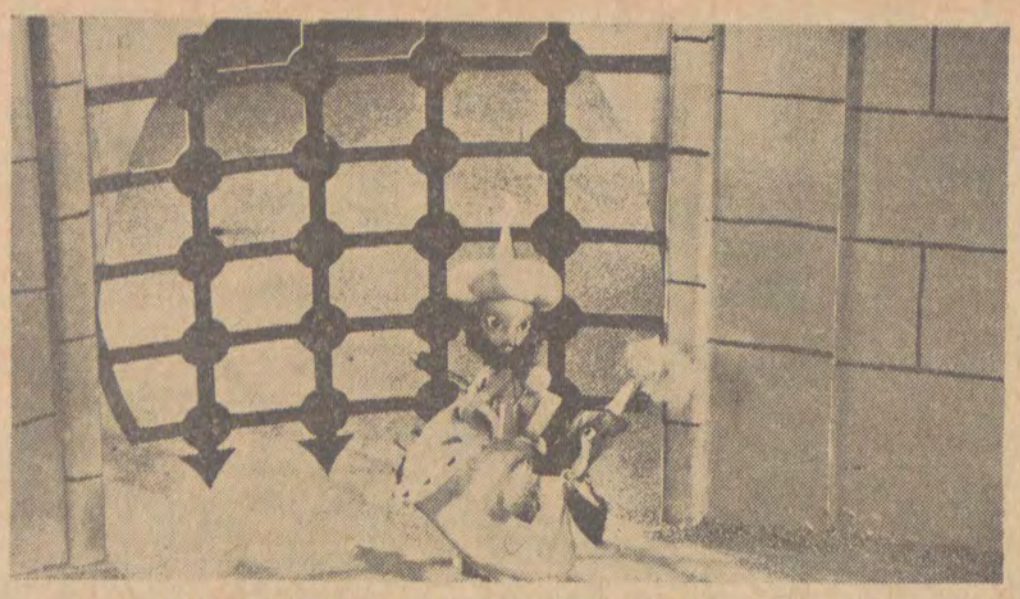

KUKIEŁKI

Trzeba powiedzieć, że film lalkowy, chociaż ciągle pozostawiany ze swoimi kłopotami samotnie, trzyma się dzielnie. Nie dostrzegany przez krytykę, (która nawiasem mówiąc nie ma możliwości oglądania jego rezultatów), ani nawet orientowania się w jego nowościach, pozbawiony własnej widowni —rozwija się wbrew wszystkiemu i staje się pozycją coraz częściej niemożliwą do pominięcia.

Niedawno miałem okazję obejrzenia kilku filmów lalkowych dla dorosłych wyprodukowanych w łódzkim studio w ciągu ostatniego roku. Były to rzeczy przeznaczone na najbliższy festiwal filmów krótkometrażowych — więc niewątpliwie należą do grupy najciekawszych.

Film lalkowy nie ma wielkiej tradycji, a co za tym idzie — zbyt bogatej klasyki dzieł wzorcowych. I, jak mi się wydaje, w tej sytuacji jakiekolwiek próby jego oceny są często subiektywne i dowolne.

Jedno jest pewne. Lalki stworzyły w filmie konieczność budowania nowych, własnych systemów umowności. I ta sprawa — sprawa krystalizacji gatunku — jest chyba najważniejsza. Sądzę, że nie wystarczy zamiana w lalki żywych dotychczas bohaterów ze sceny, aby powstał prawdziwy film lalkowy.

Na tej chyba zasadzie Jerzy Kotowski buduje swoją „Pozytywkę", a zwłaszcza Lidia Hornicka — „Upiora w pałacu" (chyba raczej w z a m k u!)

Obie pozycje są niewątpliwie bardzo literackie, bardzo teatralne, zaś „lalkowa inscenizacja" komplikuje tylko ich czytelność, co na pewno niekorzystnie odbije się w konfrontacji z e w e n t u a l n y m widzem kinowym.

Na drugim biegunie stoi Tadeusz Wilkosz („Nie drażnić lwa") i Zenon Wasilewski („Uwaga diabeł!"). Przede wszystkim jednak Wasilewski świetnie czuje specyfikę filmu animowanego i umie wykorzystać jego możliwości gagowe. Tutaj widzimy już coś świeżego — stoły walczą ze sobą, okładając się szufladami, krzesła wciskają się ze strachu pod stół, drapią się w nogę — etc.

W ogóle, jeśli chodzi o filmy według scenariuszy oryginalnych, to z przykrością trzeba stwierdzić, zawierają one wątlutką problematykę intelektualną.

Wyjątek stanowi chyba „Manguar" Edwarda Sturlisa według scenariusza Jarosława M. Rymkiewicza. Ten filmowy dramacik jeśli ma w sobie coś z literatury to poetycki skrót, poetycką wieloznaczność. Ponadto — co jest rzeczą szczególnie ważną — scenariusz napisany został s p e c j a l n i e dla filmu kukiełkowego. Nie można sobie wyobrazić by postać Manguara mogła być tak pełna i przekonywająca w filmie aktorskim — co wcale nie zaszkodziłoby postaciom „Pozytywki" a tym bardziej „Upiora w pałacu",

Na specjalne podkreślenie zasługują w filmie lalkowym udane opracowania plastyczne. Ale to sprawa zupełnie inna, wymagająca oddzielnego omówienia.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Nieobecny na festiwalu

Śmiało można powiedzieć, że na przestrzeni lat 1959 — 1960 polski film dokumentalny osiągnął wysoki poziom nie tylko zresztą artystyczny. Po okresie schematyzmu i czczej retoryki, po po demaskatorskiej i surowej „czarnej serii" nadszedł czas równowagi i dojrzałości. Rozwinął się bogaty wachlarz gatunków, niosąc z sobą różnorodność stylów i indywidualności twórczych. Mamy więc ciętą publicystykę i felieton („Polacy nie gęsi", „Ciszej", „Miasto na wyspach", „Dlaczego?"), różnorakie próby reportażu („Jeden dzień w Moskwie", „Kochajmy dzieci", „Zielona bariera"), filmy egzotyczno-podróżnicze (cykl afrykański Jaworskiego, cykl spitzbergeński) i wreszcie ten wewnętrznie nader zróżnicowany rodzaj, który określiłabym mianem: dokument poetycki czy też liryczny. Właśnie on wydaje się być szczególnie znamienny dla nowego nurtu naszej szkoły dokumentalnej, nurtu, który wyraźnie skłania się w stronę przewagi elementu emocjonalnego, w stronę liryki i poetyzowania — w najlepszym tego słowa znaczeniu. Kamera staje się wrażliwym i czułym okiem wychwytującym małe i wielkie, często niedostrzegane przez nas, dramaty dnia powszedniego („Wśród ludzi", „Sami na świecie", „Typy na dziś"), poetą zaklinającym w celuloidowy kształt przemijające, ledwie uchwytne piękno spraw najprostszych, najzwyklejszych. Piękno, o które ocieramy się na każdym kroku, na które co dzień patrzymy i którego często nie widzimy, zaabsorbowani własnymi sprawami. To właśnie piękno, poezję codzienności, chwilę kontemplacji tak bliskiego i tak obcego nam w gruncie rzeczy świata oddają „Muzykanci" Korabesza, „Klasa Ia" Halladin, „Stal" Łomnickiego. Kamera nie rejestruje rzeczywistości, nie pozostaje jedynie na jej widzialnej powierzchni, ale sięga w głąb, w ukryty podtekst zjawisk. W niewielu kadrach „Muzykantów" kryje się niemal hemingwayowska prawda o życiu.

Czy można znaleźć obraz radości istnienia i zdobywania równy „Oblatywaczom" Amiradżibi? Czy nasz film fabularny dał kiedyś tak hoggartowską w swej wyrazistości galerię portretów ludzkich jaką prezentuje właśnie dokument („Typy na dziś". „Muzykanci") Dokument staje się w coraz większej mierze filmem prawdziwie współczesnym. Odnajdujemy w nim bliskie nam sprawy dnia dzisiejszego, oblicze naszych czasów i naszego kraju, własne troski i wątpliwości, własne, nieuszminkowane twarze.

„Mój teatr"

„Muzykanci"

Jednocześnie film dokumentalny potrafił znaleźć swój oryginalny, indywidualny styl. Nie obawiając się artystycznych eksperymentów, dokumentarzyści dążą do prostoty i harmonii, w przeciwieństwie do barokowych form filmu. Między szkołą dokumentalną, która w całej pełni zasługuje na miano „polskiej szkoły", a filmem fabularnym, istnieje absolutna próżnia. Dawno, dawno temu zdarzało się iż film fabularny wyrastał z bezpośrednich czy pośrednich doświadczeń dokumentu („Koniec nocy", „Miasteczko"). Teraz nie ma o tym mowy. „Fabuła" kroczy swoimi ścieżkami, film dokumentalny swoimi. A szkoda...

MARIA KORNATOWSKA.

II Festiwal filmów krótkometrażowych

Pięć spostrzeżeń o filmie oświatowym

1 Tak się jakoś utarło, że kinematografie oświatowe różnych krajów mają swe wyraźne, określone, wykształcone dorobkiem lat — s p e c j a l i z a c j e (Japonia — świetne filmy z zakresu techniki, Anglia — medycyna). Czy w naszym filmie oświatowym, realizującym około 100 tytułów rocznie, da się wyróżnić taki typowy nurt zainteresowań?

Jest taki nurt. Rozwija się on w oparciu o tematy z dziedziny sztuki, etnografii, folkloru, geografii, krajoznawstwa. Są wśród tych na ogół bardzo ciekawych filmów prawdziwe „rodzynki" jak: „Miniatury kodeksu Behema" (reż. Lenartowicz), film o twórczości plastycznej Tadeusza Kulisiewicza reż. Brzozowskiego, filmy reż. Gordona — „Sztuka ulicy", „Szkoła Kenara", czy też film reż. Jaworskiego „Drzwi gnieźnieńskie" lub reż. Bochenka „Świątynia Mariacka w Krakowie". Filmy te cechuje dobra praca operatorów. Czynnikiem dominującym jest jednak reżyser, autor scenopisu.

2 Inaczej jest w filmach z zakresu biologii, medycyny, które są ilościowo skromniej reprezentowane w produkcji WFO. Do głosu w nich dochodzi przede wszystkim materiał naukowy i umiejętność jego przekazania widzowi. I tutaj reżyser musi często zdać się zupełnie na operatora który „poluje" z kamerą, ślęczy i dokonuje nieraz mrówczej pracy, aby utrwalić ważny proces biologiczny. Specjalistami takimi są między innymi: reżyser i zarazem operator Karol Marczak, twórca: „Modliszki", „Pantofelka", „Mitozy", reżyser i operator Włodzimierz Puchalski, autor filmów: „Wykluwanie się piskląt", „Flora Tatr", „Instynkt macierzyński ptaków" oraz para realizatorska — Stanisław Kokesz i Bolesław Bączyński, autorzy między innymi świetnego filmu „Podwójne życie ważki".

3 O wiele słabiej przedstawia się dorobek WFO w dziedzinie filmów z zakresu fizyki i techniki. W tym gatunku niestety nie ma wybitnych pozycji. W stosunku do zagranicznych osiągnięć stoimy w tyle. Brakuje naszym filmom doskonałości technicznej, a zarazem pomysłowości w ukazywaniu trudnych zagadnień z dziedziny fizyki, chemii. Źródła niepowodzeń tkwią w niedoskonałym warsztacie realizatorskim, a idąc jeszcze dalej w Szkole Filmowej, która praktyczne szkolenie„ oświatowców" traktuje marginesowo. Utarło się też szkodliwe mniemanie, że ci ponoć „najmniej utalentowani" muszą iść na Kilińskiego 210.

Nie znaczy to, że nie ma ambitnych prób we wspomnianym gatunku filmów popularyzujących technikę. Oto dla przykładu niektóre z nich: „Nowoczesna alchemia", „Cyklotron", „Cybernetyka". Przeważa tu jednak nadmiar dydaktyzmu. Brak tym filmom zacięcia popularyzatorskiego, atrakcyjnej formy.

4 Istnieją też tzw. poważne trudności obiektywne. Na całym świecie w filmie popularno-naukowym przeważa zdecydowanie technika barwna. Niestety, u nas taśmy barwnej negatywowej, jeszcze się nie produkuje; importujemy ją za dewizy. Stąd, na przykład, WFO może tylko około 40 proc. swoich filmów realizować w kolorze. Brak jest także wytwórni nowoczesnych kamer dla zdjęć podwodnych lub mikroskopowych.

5 Filmy oświatowe źle są rozpowszechniane i nie dostrzegane przez prasę. Jeżeli się już wspomina o tych filmach, to tylko w formie konwencjonalnej notatki informacyjnej. Rzetelnej i krytycznej analizy niestety nie ma. Nie mówiąc już o szerszych, teoretycznych pracach na temat filmów oświatowych.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

BEZ TŁUMIKA

I CO DALEJ?...

Festiwal Filmów Krótkometrażowych — impreza potrzebna, miła dla widzów i twórców, ale w ostatecznym rachunku... odświętna. Doroczny przegląd dorobku „małej kinematografii" nie zastąpi przecież s t a ł e g o, kontaktu publiczności z krótkim metrażem.

Właśnie — jak to wygląda n a c o d z i e ń?

Sympatyczny tygodnik „Film" zamieszcza systematycznie tzw. „czołówki" filmów wchodzących aktualnie na ekrany, uzupełniając je tytułem dodatku krótkometrażowego. Redakcja — trudno w to wątpić — o tych z e s t a w a c h krótkiego i pełnego metrażu podaje z pewnością informacje źródłowe, które otrzymuje prawdopodobnie z CWF.

Dokładna analiza 180 „zestawów" wydrukowanych czarno na białym w 50 tegorocznych numerach tygodnika, prowadzi do wniosków — nazwijmy rzecz po imieniu — oburzających.

* * *

W ciągu 50 tygodni 1960 roku wprowadzono na ekrany kin premierowych 36 filmów oświatowych (WFO), 23 filmy dokumentarne (WFD), 15 animowanych (Łódź, Bielsko, Warszawa), 5 pozycji innych wytwórni. Wprowadzono jednocześnie na ekran 65 „dodatków" zagranicznych resztę do sumy 150 „zestawów" uzupełniły p o w t ó r k i. 30 filmów fabularnych. Rada Repertuarowa i CWF n a k a z a ł y wyświetlać bez dodatku krótkometrażowego.

* * *

Pytanie: czy w ciągu 50 tygodni br. WFD wyprodukowała rzeczywiście tylko 23 filmy dokumentarne?

Pytanie: czy w tym samym okresie łódzka WFO wypuściła tylko 36 tytułów?

Pytanie: czy Bielsko, Łódź i warszawskie Studio Miniatur produkują naprawdę tylko 15 pozycji w ciągu roku?

Ktokolwiek orientuje się w naszej produkcji małych form filmowych, odpowie na te pytania trzykrotne „n i e". A więc corocznie k i l k a d z i e s i a t tytułów WFO, WFD itd. — wędruje na półki, by czekać cierpliwie swojej kolejki „może za pięć kwartałów", lub na jednodniowy, motyli żywot na którymś z festiwali. Jakże charakterystyczne i c z ę s t e są takie np. notatki we wspomnianej rubryczce tygodnika „Film" (cytujemy z numeru 31/608): „Dodatek, „Magazyn osobliwy" — recenzję tego filmu zamieściliśmy w nr 40 z ubiegłego roku". Recenzent widział film wczesną jesienią 1959 r.—widz otrzymuje „dodatek" latem 1960...

Rozmawialiśmy z kilkoma reżyserami warszawskiego dokumentu, są rozgoryczeni i bezradni: „Oddajemy film w kwietniu, na ekrany wchodzi często w listopadzie, nierzadko i po roku".

* * *

W praktyce rzecz wygląda jeszcz smutniej. Krótkie metraże mają zapewniony żywot tylko w kinach premierowych. I to nie zawsze, przypomnijmy owe 30 tytułów n a k a z a n y c h bez dodatku, przypomnijmy niezliczone wypadki, kiedy mechanik p o p r o s t u nie wyświetla „uzupełnien" do filmu fabularnego. Im niższa kategoria kina, tym gorzej: byle skrócić seans, byle więcej seansów na dniówkę, byle forsa szła...

* * *

Co robić? Trudno wymienić wszystkie rozwiązania, ot, kilka przykładowych:

Może warto by dotrzymywać obietnicy, danej przy podwyżce cen biletów — że nawet kosztem przedłużenia seansu — będzie z a w s z e pokazany dodatek, niezależnie od kroniki...

...albo wprowadzić we wszystkich kinach miejskich o b o w i ą z e k dawania dwa razy tygodniowo (powiedzmy: jednogodzinnych)—seansów „składankowych"...

...lub też rozszerzyć sieć specjalnych „kin aktualności" (tylko, dalibóg — n i e t a k i c h jak łódzka „Adria"!)...

Albo zupełnie inaczej: stworzyć Fundusz Obrony Polskich Krótkometrażówek Przed Zagraniczną Konkurencją? lub... zlecić Wytwórniom zmniejszenie produkcji?!

Nie chcemy tu niczego rozstrzygać. Niech się teraz głowią Dyrektorzy od Rozpowszechniania, którzy zajęci pracowitym wyliczaniem seansogodzin i widzo-złotówek — stworzyli sytuację s k a n d a l i c z n ą.

JERZY WEYCHERT